

PISMO DLA RODZIN.

№ 1. Warszawa, dnia 26 Grudnia (7 Stycznia) 1874/5 r. Rok 11.

CENA PRENUMERATY		Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.	Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.
Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.		
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8	REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT	
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . . „ 4 k. „		
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.	NR. 30 NOWY.	NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.		

HRECZKOSIEJE.

KILKA STROF NIERYMOWANYCH

PRZEZ

TOMASZA ZANA.

— A ja ci powiadam że nie ma jak nasza szlachta, zwykł był mawiać pewien człowiek starej daty co widział niemały świata kawał, bywał na wozie, i pod wozem, bywał w szerokim świecie—ba i za morzem nawet.

Choćbyś widział w niej tysiąc wad, przywar, słabostek, choćby cię nie na jedno złość porywała ostatnia— gdy zobaczysz poczciwego hreczkosieja naszego, jak się do ciebie rozśmieje z pod wąsa, rubasznie a serdecznie zagada to zapomniesz o wszystkiem, wszystko darujesz i chcąc niechcąc powtórzysz: tak nie ma jak nasza szlachta. Gdyby tak można tej szlacheckiej wiary cały świat nauczyć, wszystkim het! tak porozprzestrzeniać i po otwierać serca, dać taki złoty animusz a otoczyć przytém obfitością darów bożych, to powiadano byłby raj—nie ziemia, i nie ludzie, tylko... szlachta, boć to także perfekcyja w swoim rodzaju.

Są tak zwani sympatyczni ludzie na których niepodobna się gniewać seryjo i długo, bywają dzieci takie, że chcąc okazać się zagniewanym za ich wybryk jaki, brwi marszczysz a usta ci się szerzą do uśmiechu, tacy to są i szczerzy hreczkosieje nasi, ze świecą w nich nie znajdziesz złości i myśli skrytej, a czyny ich tak dobrze płyną z dobrego serca a nieopatrznego umysłu, że bądź co bądź musisz ich kochać choćbyś nie chciał.

Butne to niby i harde a od jednego serdecznego słowa, topnieje jak wosk choć przyłoż do rany; dziś zatnie się lub zakipi aż patrzeć straszno, gotów cię na proch zetrzeć i proch, jeszcze w powietrze rozrzucić—jutro cię pierwszy uściśnie. Przyciśnięty niedolą załamał ręce, opuścił głowę i gotów przysiądz że skończenie świata już jutro—niechże słonko tylko błyśnie z za chmury, ehe! z fantazyją pogląda przed siebie, czapka na ucho i czuje się panem świata całego—złota nadzieja rozpromieniła mu oczy,

A! już to dobre czasy są jedynym żywiołem szlachcica; tu dopiero przymioty jego ducha rozwijają się jak kwiaty w dzień słoneczny ludzie dlań wtedy weselną drużyną i bracią najukochańszą a świat przedsionkiem nieba. Patrzcież jednak jak cudowna budowa jego duszy! tło jego charakteru stanowi statek wielki i powaga głęboka. Patrzy on nie na zewnętrzną powłokę rzeczy, świat doń głośno przemawia, bierze ci on na rozum i do serca, szczególniéj do serca, czuje sprawiedliwe i zacne.

Choć przedewszystkiem lubi dom i rodzinę blizką i pod cieniem lip swoich najmilej spoczywa—przecież głęboko czuje czego odeń wymaga wielka rodzina społeczna.

Zapędziłem się w panegiryk szlacheckiej natury że omal nie powtórzyłem słów jednego bardzo poczciwego człowieka, który twierdził że szóstego dnia stworzenia świata już przed samym odpoczynkiem Bóg stworzył szlachcica i wtedy dopiero ujrzał że wszystko jest dobre a szlachcic najlepszy. I nie on jeden to powiada. Jeśli jaki poeta lub bajarz. dla czytających, chce napisać rzecz miłą sercu naszemu kogóż bierze pod pióro jeżeli nie hreczkosieja?

Z jakiej bądź strony go przedstawi, byleby wiernie przedstawił—nie pożałuje trudu, ale dank serc wdzięcznych sobie pozyska obficie. Choć wszystko bo piękne jest co na naszej ziemi wyrosło ta postać przedewszystkiem,—bo na nią złożyło się dużo, dużo! I szum złocistych łanów, i bory grzmiące odgłosem rogów, i harce za tatarem po szlakach, zwycięztwa i klęski, a po klęskach znów pieniący się miodem dobrobyt, na ziemi matce kochającej aż do pieszczoty.

Nieszczęścież moje! Pieszczota nasuwa mi myśl o matce co niesprawiedliwa, jedne dzieci więcej nad drugie kocha i z ujmą, reszty rodzeństwa rozpieszcza jednego synaczka... Po co mi takie myśli! Nie lepiejże bez ciernia w sercu gawędzić z bohaterami Mickiewicza Kaczkowskiego, Chodźki, Syrokomli?

Z tym poczciwym zawadyjaką co za słówkiem obrazy dobywa na pana brata szablicę poszczerbioną na łbach tureckich, a w tegoż brata niedoli, lub w ciężkiej ogólnej potrzebie, gotów się ostatnim podzielić. Nie wolał że bym ucztować i ściskać się z nimi przy biesiadzie w rozradowaniu dusz bratnich, gdy szklanica krąży od Jana do Macieja, gdy się usta rozwiązują niby Demostenesom lub Cyceronom jakim, a narracyje takie nieocenione, zamaszyste i dosadne, że tylko słuchaj z otwartemi ustami, a trzymaj boki żeby nie pękły od śmiechu. Nielepiejże patrzeć jak z cze-

czotką w ręku i w kapeluszu słomianym, ojciec włości siedzi przed wrotami, a przed nim domowa gromadka, jak przed patryjarchy namiotem.

Ach mój Boże! znów mieszają mi się smutne przypomnienia do snującego się rapsodu. Ta prywata nieszczęsna, ociężałość dusz tak przerośniętych tłuszczem dobrobytu bez pracy, że już ich nic poruszyć nie mogło i poderwać w górę.... Tam trzask walącej się budowy gdy pod nią wygolone głowy, jak maki polne chylą się sprzecznym wiatrem w różne strony, gdzie zaświeci nadzieja osobistej pomyślności. Odgłos braterskiego toastu „kochajmy się" wydaje szydercze echo, mruczenie dumy kaptującej sobie służalców, wśród aplauzów panów braci chwytających się złoconej klamki w imię równości. Słyszę gwar niesforny a ciemny. W tym gwarze głuchną głosy rozumu, głosy poświęceń zmarnowanych bez skutku. Ciemnota, fanatyzm, oziębłość serc, przyduszają wszystko po ołowianym obłokiem.

Od serdecznego uśmiechu przechodzę w smutek głęboki, zamknąwszy oczy uciekłbym od tych widoków, gdyby mię czar jakiś nie trzymał na uwięzi. Chyba gdzieś w odległe wieki ucieknę z mym ideałem szlachcica. „Co ma żyć w pieśni powinno umrzeć w rzeczywistości" rzućmyż się w odleglejsze jeszcze czasy, i nie na tych buńczucznych jedwabnych patrzmy i nie na tych co się koło nich snują; gońmy za prototypem naszego hreczkosieja w zagrodach cichych.

Gniazda cnoty! jak was opisać? Jak chwalić urok święconego obrazka nad którym żaden mistrz nie pracował, którego pierwowzór gdzieś z nieba spadły odszukał oracz na niwie, a ręka matki, wymodlony i wycałowany dała z błogosławieństwem na drogę?...

Gdzie wysokie strzechy, gdzie przedsienia białe a lipy i grusze dokoła, gdzie studnia z żórawiem i bocian na kole, gdzie twierdza z brogów opodal, a Częstochowska Maryja na blasze, niby ryngraf rycerza do lipy przybity strzeże zagrodę od ognia i rozboju, gdzie dokoła wieniec sosnowych berów; wstąp tam, chcesz li zaznać ludzi serdecznych, zobaczyć bożą czeladkę. Wyda ci się żeś tu wzrósł, że te postacie marsowych a dobrotliwych mężów, niewiast pełnych prostoty, mądrości bożej i dziecinnego serca, świeciły ci nad kolebką; że ten ład domowy uświęcenie pracy, te czyste obyczaje, były pierwszą szkołą twej duszy. A jeśli szczęścia cichego zapragniesz to nie w innej postaci, bo nie wiem już jaka błogość napełni ci duszę w tém kółku. To kółko takie ciasne niby, wieniec borów i sklepienie nieba z góry od świata je zasłania; czy myślisz że to osada szczęśliwych zaparta w swych wrotach? Przez te wrota dębowe nie tylko sąsiedzka drużyna przejeżdża kuligiem z szumem i brzękiem zabawy, szlachcic wie co się dzieje w około, i gdy koło swej roli chodzi, dobytku dogląda, czy koło komina odpoczywa wśród rodziny, nie o swoich tylko kłopotach radzi; bo wie jakie obowiązki Bóg na niego włożył.

Dawno bardzo dawno, w czasach mianowicie owych gdy po kraju plądrowali Turki i Szwedy, Ojciec rodziny wołał swych synów i czeladź zbroił, żegnał płaczącą z cicha żonę i córki. Uroczysty a spokojny dawał ostatnie rozporządzenia jak przed śmiercią i napomnienia gospodarskie.

Niezapomniał o niczem, przestrzegał strzedz ognia, pamiętać o chorym źrebcu, podeprzeć pochyloną gruszę w ogrodzie: a gdy już wsiadł na konia, gdy krzyżykiem siebie i rodzinę przeżegnał, krzepił się uśmiechem i obiecywał małemu synkowi łuk turecki przywieść z wyprawy. Pojechał—a gdy daleko na kresach kraju krew przelewał, dzicz szwedzka czy turecka deptała jego niwy i paliła mu zagrodę. On wracał uczyniwszy zadość powinności, i nie poznawał kątów rodzinnych. Kominy sterczą nagie, opalona lipa rozciąga nad niemi czarne i krzywe gałęzie... Kto spełnił co doń należy ten nie rozpacza. Z westchnieniem zaczerpnął siły, odszukał rozpierzchłą rodzinę, zapłakał nad dzieckiem przez turka porwanem i dalejże za siekierę za piłę! Budował chaty spalone, zepsute gniazdo naprawiał, sobie, i drugim pomagał, leczył rany zadane przez klęskę. Nie spoczywał, nie folgował żalowi ani zmęczeniu, aż dokonał trudnego dzieła. Minął rok jeden i drugi, dworek biały znów świecił, bocian znowu klekotał, brogi i obory znów pełne, wszystko tak jak było dawniej, tylko syn najstarszy gdzieś tam w wielkiej mogile, tylko córka zginęła bez wieści....

W kraju umarłych myśl chętnie przebywa i nie chce jéj się tych stron opuścić. Już się nie dziwię ludziom wierzącym tylko w to co dawne, bo i mnie przy wyjściu na świat obecny, zaraz też hwyta mój zły duch przekory i dopóty zrzędzi, dopóty psuje mi złudzenia aż staje się gotów pokłócić z pierwszym spotkanym hreczkosiejem, a mego kuzyna wielkiego nowatora na dwugodzinną wyzwać walkę—o zasady.

Mój kuzyn jest zwolennikiem przywozu zagranicznych produktów i przerabiania ich na miejscu do naszych potrzeb domowych. Powiada np. w żywe oczy, że tak dalece biedni jesteśmy, tak dalece nic nie mamy, iż wszystko trza sprowadzać, na gwałt sprowadzać, bodaj na kredyt, wszystko oprócz może chleba dla ciała. Nie samym chlebem żyje człowiek; otóż to wszystko, czego nam oprócz chleba potrzeba, radzi nam pożyczać za granicą. Na różne sposoby probowałem leczyć mego kuzyna z jego umysłowego zboczenia, i zawsze mi się nie udaje. Tylem go przecie elokwencyją moją sforsował iż raz rzekł przyparty do ściany:

— Mówisz mi o skarbach zakopanych w ziemi — o pogrzebanej przeszłości! Czyż nam wypadnie także do grobu zstąpić, aby obcować z zacnymi pradziadami, gdy nam się żyć chce, gdy do śmierci daleko? Cóż nam po martwej tradycyi, po starych zbroicach co się na nic już nie godzą chyba na pamiątkę?

— Jakto, zawołam mu nad uchem, na nic się nie zda czyste złoto cnót rodzinnych i społecznych! Jakto! nasza hartowna stal obyczajów, nasza idea, nasz polot ducha, to tylko pamiątki! to tylko obrazki do zawieszania u wezgłowia?.. I ty zamiast nich, chcesz fabrycznych cacek dętych z brązu?

Kuzyn mój nie uląkł się takiego pocisku, owszem, zaśmiał się jeszcze:

— A dajże mi te szczerozłote bryły! gdzi one są teraz? Pokaż mi te bogi domow bez deklamacyi powiedz, w czém i gdzie on dziś przemieszkują.

Rozradował się duch mój na takie wyzw nie. Otóż myślę sobie jednem cięciem oba przeciwnika i już miałem na ustach wyr „hreczkosieje," gdy w tejże chwili przysia się do mnie mój zły duch pessymista i sz pnął: „Zasiedzieli poczciwcy, Bogu duch winni." Zdusił mi przed wymówieniem sł wo, i wyszło bezsilne, mdłe — prawie śmi szne.

Przeciwnik schwycił w lot tę upuszczon broń moję.

— Hreczkosieje! zawołał, ach dobrze ż mam nareszcie twoję myśl najulubieńszą z kt rą najczęściej występować lubisz. Dajże m pokaż nareszcie tę skarbnicę ducha naro Poszukajmy, cóż się w niej znajduje. We chnienia za dobremi czasami, nadzieje d brych czasów gdy pszenica popłaca a robotn tani, apatyja do czynu, niechęć do prac, ciasnota pojęć, zamknięcie się w sobie ego styczne... cóż więcej? Pokaż że mi jaką d datnią stronę, abym ci mógł wykazać że istni je ona tylko w twem przekonaniu, albo się prz rodziła w ujemną.

— Więc już na prawdę mamy dodatni strony sprowadzać od Francuzów, Niemców Anglików, myślę sobie—to być nie może.

— Nie! mój drogi, nie rzucaj kamieniam w studnię. Pomyśl tylko: smutne okoliczn ści, biéda, nowy stan rzeczy; ty tego wszys kiego nie bierzesz w rachubę, a czy ty wie jak to przygniata ducha?

— Aha! Łatwo to baraszkować sobie, ł two mieć dobre fantazyje, gdy z nieba spa manna, gdy setki pracują na jednego. Ni bratku! jeśli co umiesz, to pokaż wtedy g potrzeba—w biedzie, pokaż o własnej sile. Cn tliwym być łatwo cnotą która dobrze podj dła i umysł bujny mieć, gdy się wypoczęł Nie, bratku! kto ma zakorzenione towarzysk cnoty ten i w biedzie pamięta że nie dla si bie tylko żyje, tego ogół obchodzi, ten mu z wsze potrafi użytecznie służyć.

— Oni nie wiedzą jakie są potrzeby.

— Więc ciemni!

— Nie umieją zaradzić.

— Więc niedołężni.

— Ale gdzie tam! czy nie widzisz że wsz stko ku lepszemu się garnie, pracuje, oszczę dza....

— Dopóki żyd nie pożyczy pieniędzy a ja pożyczy to będą znów festy, wyjazdy za gra nice i tysiączne zbytki, dla dania należy splendoru świetnem tradycyjom zapewne. Nie mówmy już o ich społecznych cnotach gdzie tu rozsądek dodaj, pojęcie swego poł żenia, jaka taka przedsiębierczość, lub zroz mienie własnego interesu. Jakiż to du wieje z tej warstwy społecznej, co sterow powinna społecznej nawie?..

Gdy taki obrót bierze sprawa: źle! myślę sobie, nacierają coraz mocniej, oprzyjmy s o mur plecami.

— Zjechaliśmy kochanku na uboczne ście ki wołam, a lice hreczkosieja jakim go po muję zabłysło mi przed oczyma duszy, mienione wstydem, pełne szlachetnego zapa łu, i żalu wywołanego krzywdą.

Nie o tem mówmy co jest — bo źle jest; tu idzie o zasadę nie o jej zboczenia. Kto ma po za sobą tyle co oni, ten upaść nie może choćby się zawahał; nizcy tylko ludzie nie mogą przebaczyć chwilowej słabości szermierza. Nie zaprzeczysz skarbom zakopanym w przeszłości, nie zaprzeczysz i tym co się kryją w piersiach żyjącego pokolenia. *Jeśli ich nie przerobiono w formy potrzebne do dzisiejszego użytku*, czyliż to znaczy że obcym bogom kłaniać się nam potrzeba?.. *Niedola jest wielką mistrzynią!* Nie jesteś przecie tak lekkomyślnym abyś dla czasowego uśpienia ducha, jego bytności zaprzeczył, ani masz tak obumarłe serce że już doń nie przemawia nic z ziemi rodzinnej i z serc tych ludzi co ją potem swym uprawiają.

Jeśli się zapatrujesz na dumnych blichtrem podania, osłaniającego dziś moralną ich nędzę, to źle czynisz. Czemuż wyszukujesz pustych uli gdzie siedzą tylko myszy i szerszenie?..

Niewiele ich mamy Bogu dzięki. Bóg z nimi! niech trwają w przekonaniu że świetność tradycyi (problematyczna nieraz), osłoni ich przed... politowaniem spółczesnych i potomnych.

Duch który żywił u nas podniosłe uczucia i cnoty, duch który służył za jedyną podstawę społecznej budowie... ach kuzynie! jakiżeś ty zaślepieniec! Ty go chcesz czemś innem zastępować.

W sercach hreczkosiei śpi część tego ducha i tego znaczenia snem przykrym. Niechaj się zbudzi, a w nowe dni dźwignie porządek nowy co nastał podczas snu jego. Niech się zbudzi i zrozumie świat obecny i jego zadania. Światła tylko! światła i dobrej woli, a resztę charakteru narodowego duch czasu w swą formę urobi.

Krewniak mój podparł głowę i zadumał się. Odezwało się w nim serce, odezwała się hreczkosiejska krew jego pradziadów. Niechcąc już wyciskać z niedowiarka przyznania się do błędu przekonań, uścisnąłem go tylko i wybiegłem powtarzając z cicha: „Tak więc nie ma jak nasi hreczkosieje!“

WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ
Emila Laveley'a
przełożył
Ludwik Sztanjbok.

ROZDZIAŁ I.

Wychowanie ludu jest najpotrzebniejszą i najważniejszą kwestyją dzisiejszych czasów.

Zarówno w Europie jak i na całym świecie nigdy kwestyją wychowania ludu, nie zajmowano się tak gorliwie, jak w czasach dzisiejszych.

Kilka lat temu, Minister Oświecenia Publicznego we Francyi, P. Duruy, przedstawił z pochwały godną śmiałością, stan początkowych szkół w tym kraju, i wygłosił niezbędną potrzebę radykalnych reform, a wypadki z r. 1870 i 1871 przekonały, jaką miał słuszność. We Włoszech mężowie stanu, wiedzą co pozostaje jeszcze do zrobienia, aby wydźwignąć półwysep z dawnej ciemnoty, to też prawie co rocznie nowe projekty przedstawiane są w parlamencie. Anglija poniżona i niezadowolniona z powolnego postępu szkół swoich, zmieniła prawem niedawno zapadłem, system swój, jako za mało skuteczny. Portugalija probuje nowego systemu, którym wprowadzone zasady, zgodne są z tegoczesnemi pojęciami. Rossyja pomimo trudów społecznych i politycznych, znajduje jednak czas, na dotknięcie tej kwestyi, i jak wiadomo, przygotowuje ważne w tej mierze ulepszenia. W Holandyi i Belgii kwestyja powyższa stanowi sztandar wojenny różnych stronnictw, i nie przestaje zajmować uwagi publicznej.

Stany Zjednoczone od czasu ostatniej wojny domowej, jeszcze lepiej zrozumiały potrzebę nauki powszechnej, i powiększyły niesłychanie ofiary pieniężne, poświęcone na dopięcie tego celu. *) Nakoniec, w Australii i Kanadzie, w Chili, w Brezylii w krajach tak pochodzenia romańskiego jak i anglo-saskiego, wzięto się na seryjo do dzieła.

Wszędzie szukają sposobów do rozpowszechnienia światła, uczynienia nauki nietylko przystępną, ale nawet przymusową dla wszystkich.

Wszędzie widzieć się daje dążenie do udoskonalenia metod, otwierają się szkoły normalne, zwiększa się ilość gmachów szkolnych, podnosi się stanowisko nauczyciela, i nigdzie nie widać cofania się od ofiar pieniężnych, których te ulepszenia wymagają.

W istocie trzeba być krótkowidzem żeby nie zauważyć, iż przyszłość narodów zależy od stopnia oświaty jakiej dosięgną, i możnaby na to tysiące przadstawić dowodów, my zaś ograniczymy się na trzech tylko.

Znaną jest znakomita maksyma Bakona: „Knowledge is power, wiedza to potęga“. Szczególniej w prawach ekonomii jest ona najprawdziwszą i najwidoczniejszą. Znajomość praw natury czyni pracę produkcyjną. Człowiek dziki pomimo bystrych pojęć i ciała hartowanego do znoszenia wszelkiego rodzaju prac, żyje w nędzy, i często umiera z niedostatku; siły natury przygnębiają go bowiem, jako nieumiejącego nad niemi panować; przeciwnie człowiek ucywilizowany, po tysiącach lat nauki i odkryć, zgłębiwszy tajemnicę sił natury uczynił je narzędziem woli swojej, i odtąd pracą skróconą, panuje nad ujarzmioną materyją, obfitując we wszystkie dobra.

Stanowisko nauki zastosowanej do wytworu bogactwa, wzrasta z każdym dniem. Na przyszłość najbogatszym a nawet najpotężniejszym ludem będzie ten, który najwięcej nauki włoży w swoję pracę. A nauka która niezdolną jest do nabycia bogactw, tem mniej potrafi je spożytkować.

Nigdzie prawie praca robotnika, nie jest wystarczającą na jego niezbędne potrzeby, a jednak jak wielką jej część, poświęca on na niepotrzebne, a nawet szkodliwe wydatki?..

Nielubiący przewidywać, z umysłem ograniczającym się tylko do teraźniejszości, nie ocenia całej potęgi wyzwalającej go oszczędności.

Chciwy wrażeń zmysłowych i gwałtownych bardzo często znajduje przyjemność jedynie tylko w opilstwie, i jeżeliby zarabiał więcej, to dla tego, żeby mógł pić więcej.

Jeżeli chcemy, aby zwiększona płaca, była dla robotnika sposobem wyzwolenia, powinniśmy przedewszystkiem przez naukę, wyrobić w nim chęć do szukania rozrywek umysłowych i do przezorności.

Ażeby więc naród wytwarzał wiele, a wytworzonemi przez siebie produktami, umiejętnie zarządzał, potrzebuje oświaty.

Macaulay historyk angielski zauważył, że jeżeli w 18 wieku, Szkot, dawniej biedny i nie oświecony, przewyższał we wszystkich zawodach anglika, to dla tego, że parlament Edymburski dał Szkocyi narodowe wychowanie, którego niedostawało Anglii. W Stanach Zjednoczonych fabrykanci utrzymują, że chociaż płacą robotnikom dwa razy więcej jak Europejczycy, mogą jednak utrzymać konkurencyję z fabrykantami europejskiemi, bo mają robotników prędzej i lepiej pracujących, robotników wykształconych, którzy tem samem, większą korzyść z maszyn wyciągnąć mogą.

Oprócz tego powodu ekonomicznego, wpływa tu jeszcze inny—polityczny.

Demokracyja posuwa się naprzód. Równość wytwarza się tak w monarchijach, jak w rzeczach - pospolitych, zarówno w Rossyi jak i w Szwajcaryi; stąd wynika że po każdej rewolucyi lub reformie, zwiększa się liczba tych, którzy mają udział w zarządzie kraju.

Prawo głosowania powszechnego, istnieje już w wielu krajach. Prawie wszędzie niecierpliwe tłumy dobijają się przystępu do sal w których głosują, i nawet arystokratyczna Anglija, przyjęła je do współudziału w głosowaniu.

Prawo głosowania powszechnego poprzedzone rozpowszechnieniem się oświaty, lub

---

*) P. Wickersham teraźniejszy Nadintendent szkół w Connecticut, wykazuje doskonale korzyści ludowej nauki:

„Nauka czyni pracę więcej produkcyjną: gdyby wszystko zboże dziś zebrane w Stanach Zjednoczonych, miało być wymłócono i zmielone sposobem dawnych czasów, zaledwieby tego dokazać zdołała cała ludność. Dzięki maszynom, mała tylko liczba ludności wykonywa tę robotę; praca kierowana zdolnością, buduje nasze domy, mosty, drogi żelazne, okręty, wyrabia zegary, fortepijany, prasy, słowem tworzy cywilizacyją. Wykształcenie podnosi robotnika, kiedy on będzie tak wykształcony jak klassy nie zajmujące się pracą ręczną, tego samego co i one będzie używał poważania. Wszakże Cyncynat uprawiający swą rolę, Franklin pracujący w drukarni, Hugh Miller ciosający kamienie w kopalniach nie byli niższemi, przynajmniej w oczach tych, dla których szacunek ma swoję wartość.

„Nauka nie odwraca od pracy, lecz podnieca człowieka do wykonywania za pomocą maszyn te części roboty, w której konieczną jest siła.

„Mówią niektórzy, że jeżeli wszyscy ludzie będą wykształceni, któż będzie pracował fizycznie—odpowiedź bardzo prosta: wszyscy. Tylko większa część prac, będzie wykonywana mocą natury, kierowanej nie siłami muskularnemi ludzi, lecz ich umysłem.

„Nauka prowadzi do dobrobytu, bo nauka jest potęgą, a potęga rodzi bogactwo.

„Nauka powiększa nasze szczęście i użycie. Człowiek prosty zna tylko przyjemności cielesne, prędko przemijające. Człowiek oświecony używa piękności natury, sztuk, poezyi, muzyki, towarzystwa z osobami jak on wykształconemi, zamiany uczuć wznioslych, tem trwalszych że są wzajemne i wolne od trosk, gdyż są czyste, godne duszy nieśmiertelnej.

też zaraz po niem następujące, jest źródłem siły i wielkości, idąc zaś w parze z ciemnotą jest i będzie początkiem nieobliczonych nieszczęść.

Dodam jeszcze ostatnią uwagę!

Wielkie niebezpieczeństwo może grozić nowoczesnej cywilizacyi. Jeżeli w tym samym czasie kiedy potrzeba dobro bytu rozpowszechnia się w narodzie, światło i moralność rozchodzi się po wszystkich warstwach społecznych, tak, że jednych natchnie sprawiedliwością, drugich zaś cierpliwością, bo tego wymagają reformy społeczne, wtedy postęp regularny jest zapewniony: lecz jeżeli nauka, bogactwo i egoizm w górze, na dole zaś ciemnota, nędza i zawiść, trzeba się wtedy spodziewać krwawych przewrotów!

Słowem trzy ważne kwestyje, wywołują zamieszanie w tegoczesnych państwach: Kwestyja społeczna, polityczna i religijna. Żadna z nich nie może rozwinąć się zgodnie z interesem cywilizacyi, jeżeli najliczniejsza klasa nie będzie posiadała rzeczywistego, moralnego i gruntownego wykształcenia.

Głosowanie powszechne nie oparte na ogólnem wykształceniu, prowadzi do anarchii.

Ażeby położyć tamę zawiści pewnych klas, trzeba żeby robotnicy, stawali się stopniowo właścicielami lub kapitalistami, do czego przez naukę tylko dojść mogą.

Z pomiędzy więc kwestyj porządku praktycznego, najważniejszą, w obecnym czasie, i najpotrzebniejszą, jest kwestyja nauczania publicznego.

Gdy obecnie nikt już dobrodziejstw ciemnoty nie podnosi, wszystko cośmy powiedzieli, wydawać się może oklepanem.

Ministrowie i deputowani, książki i dzienniki głoszą na wyścigi potrzebę zajmowania się wychowaniem publicznem, idzie tylko o to czy jesteśmy dostatecznie przygotowani do znoszenia przeciwności i do czynienia niezbędnych ofiar, od których powodzenie sprawy zależy. (d. c. n.)

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWEJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

ROZDZIAŁ I.

Apollo i Dafne.

Pan Edward był to, co nazywają: młodzieniec z szykiem.

Pan Edward miał bardzo dużo czasu — wyglądał także jakby miał nie mało w kieszeni. Coś on tam pewnie robił na świecie — ale co takiego, i o których godzinach? trudno wiedzieć, i nawet na nic by się to nie zdało; bo ludzie z szykiem nie bardzo się przyznają do jakiej roboty, a są też roboty, do których i bez szyku nawet przyznać się trudno.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Agatkę, było to po przez wielką szybę magazynu strojów damskich, przy ulicy Freta. Wtedy to on ją



Wtedy dziewczyna wzięła nogi za pas.

ujrzał i od razu mu się podobała. Nie podobała mu się tylko z tego: że wcale nie spoglądała w okno, lub przynajmniej w stojące naprzeciw zwierciadło, w którém człowiek i siebie widzi, i bliźnich przechodzących ulicą obserwować może; a raczej wielce jest możebne: że właśnie z tego podobała mu się tem bardziej.



Pani Marcinowa była niegdyś żoną rewizora przy rogatce.

Zaczem krążył około onej szyby jako lew biblijny, o którym powiedziano jest, że szuka tylko kogo by pożarł. Pan Edward lwem był co prawda, ale nie był ludożercą — zaprzeczyć jednak nie można: że Agatka wyglądała istotnie jak caceczko do schrupania, i to tem ponętniejsze, że można sobie było na niem pokruszyć mniej wytrawne zęby.

Krążył tedy wieczór cały i parę jeszcze następnych — zamówił się nawet o coś do magazynu, żeby się bliżej przypatrzeć; ale wszystko daremno — dziewczyna ani spojrzała.

Doczekał dopóki nie wyszła, i wtedy ofiarował się odprowadzić ją do domu.— Ale Agatka odprowadzenia nie potrzebuje, właśnie idzie w przeciwną stronę, zna drogę i wybornie trafi sama.— A daleko ona mieszka?—Aż u matki. Któż by ją mógł zaczepić, nastraszyć?. Właśnie w tej chwili jest zaczepiona, a jednak bez obawy żadnej prosi natręta że by jej dał, święty pokój. — Pan Edward probował podać jej ramię. Wtedy dziewczyna wzięła nogi za pas, i poczęła pierzchać na podobieństwo Dafny, o której nic nie wiedziała, on zaś gonił ją jak niegdyś Apollo, o którym także słyszał tylko piąte przez dziesiąte. Wreszcie zdyszana wpadła w jakieś drzwi oszklone, przez których szybę zajrzawszy ostróżnie pan Edward, co prędzej także drapnął z kopyta.

Sklepik to był z napisem: *Spszedacz z wichtuałamy*, pod osobliwem godłem „Bociana przynoszącego dzieci.“

Sromotny zaś odwrót pana Edwarda przypisać należy widokowi pani Marcinowej, wstającej ze stołka w sposób raczej bojowniczy, jak zapraszający do wejścia. Sięgała bowiem po miotłę, jakbądź nie był to czas ku zamiataniu.

Następnego wieczoru, przyszła już odprowadzić Agatkę Magdusia. Następnego, znowu ta sama chuda osoba i jeszcze w towarzystwie Jerzusia.

O! ona była bardzo pilnowana, ta Agatka.

Naprzód, przez matkę swoję, panią Kordulę Flaczyńską z męża Marcinową.

ROZDZIAŁ II.

Pani Marcinowa.

Pani Marcinowa Flaczyńska była to rzeźwa jeszcze osoba, niezłej tuszy, trochę tylko popędliwa w słowach, aleć nie dziwota, anioła by nieraz dyjabli brali mawiała, gdyby, jak ona, niegdyś *w znaczeniu* będąc, dziś otosklepik musiał trzymać nędzny...

Sklepik ten nie był tak znowu nędzny jak jej się wydawało, czy też jak w drugich wmówić pragnęła. Dostać tam było można wielu bardzo rzeczy, poczynając od tych suchotniczych drewek, powiązanych łyczkami, które wyglądają „jak strzały we wróżka prawicy,“ aż do nici, haftek, scyzoryków i szczoteczek z źwierciadełkami. A teraz: wiktuały rozliczne, od pozłacanych pierników aż do obwarzanej kaszy! Któż policzy także wszystkie znajdujące się tam szufle, miotły, biczyska, pułapki na myszy? Toż w szybach jeszcze wisiał mieszek do wdmuchiwania proszku perskiego, rejent z piórem za uchem tańcujący kozaczka, i wreszcie owe utrapione

łojówki, przejęte nerwowym drżeniem na każde silniejsze drzwiami trzaśnięcie.

Ten sklepik jednak tyle zasobny, ani się umywał, jak wiemy, do poprzedniego pani Marcinowéj *znaczenia*, które na tem polegało: że była niegdyś żoną *rewizora przy rogatce*. Przy rogatce Powązkowskiej—o smutne wspomnienie! Tą samą rogatką wyjechał on dnia pewnego — nogami naprzód, jak powiadają, i już nie wrócił więcej szturgać pręcikiem worki z sieczką, i bliźnim na utrapienie rozpakowywać na deszczu tłomoki. Rogatkę tę zniesiono też nie długo, i bardzo słusznie; zniesiono także i drugie — dobrze im tak, niech nie będzie ani mnie ani tobie. Tak mówiła pani Marcinowa, niewiasta mężnego animuszu, a wytrawna w mowie. Ona nie zawsze w takim jak dziś oto lichym znajdowała się bycie (niepocieszona wdowa), a jednak da sobie radę na świecie (jakbądź sierota), bo ona przecię sroce z pod ogona niewyszła. Taka to już była jéj słabość. Nie lubiła się wdawać z byle *kiem* — o nie! Wiedziała co winna sobie, swemu położeniu i stosunkom. Miała brata rodzonego woźnym przy sądzie pokoju okręgu III-go Miasta Warszawy. Miała krewnego wikarym, gdzieś w okolicach Kozienic. Pamiętała też ciotkę, któréj *pasirzb* był podleśnym u hrabiego.

Stąd i Agatki pilnowała jak oka w głowie. O! nie z każdym jéj się wolno było zadawać. Jużto w magazynie mało z którą, bo to wszystko nie wiedzieć co za jedne. Magdusia to ma przynajmniéj maszynę do szycia....

ROZDZIAŁ III.

Magdusia.

Ta Magdusia była to koścista, wybujała, ospowata istota, marząca o tem: żeby się mogła za mąż wydać, mianowicie właśnie za niejakiego Jerzusia, który się tego ani domyślał. Kiedy się dowiedziała o przykrem zajściu Agatki, nic jéj to nie zdziwiło. Istotnie ulicą idąc, opędzić się człowiek nie może — tak twierdziła. Wyglądało to dziwnie trochę, nawet przypuszczać się tu godzi przesadę pewną, jeśli tylko nie całkowite przywidzenie.

Była to z resztą *poczciwości z kościamy* pracowita, skromna, porządna co się zowie dziewczyna — ale dosyć już nie młoda i wcale a wcale szpetna. Dość także zarozumiała jak widzimy, a znowu i nie bez pretensyi — obok tego jednak niezmiernie poświęcona matce Jerzusia, staréj zdziecinniałéj kobiecinie, wdowie po grenadyjerze a następnie stróżu.

Ale o tem ostatniem nigdy się nie mówiło, mogłaby bowiem pani Marcinowa myśleć zaraz Bóg wie co, a tu przecie jak wiadomo, stróż stróżowi nie równy. Były grenadyjer, gdyby nie osobliwsza skłonność do szpagatówki, śmiało mógł był zostać szwajcarem. Nawet się na to nieco zanosiło (za wpływem wprawdzie numerowego w zajeździe na Dziekance), ale cóż, kiedy w tem dnia pewnego, nie wiele myśląc wziął i umarł...

ROZDZIAŁ IV.

Jerzuś.

Syn jedyny owego niedoszłego szwajcara, był to sobie szczupły, drobny, zawiędły, małomówny, nieśmiały człowieczek. Wyglądał zahukany, ale matka twierdziła że się już takim urodził, z góry mając na myśli jak najmniej zawadzać ojcu, któremu nie było nic do zarzucenia, jak tylko: że lubił w domu trochę za dużo zajmować miejsca.

Już to poczciwa babina wierzyła w niego jak w sennik, nad który nie przypuszczała większej na świecie mądrości.

Zawsze starannie ubrany, miał Jerzuś pozór wcale przyzwoity, i istotnie dobrze mu się działo; że zaś potrzeby jego skromne były, chodziły więc wieści: że już nawet sporo grosza na bok odłożył. Panią Marcinowę w rękę zawsze całował, więc jakbądź z powołania był on szewcem tylko, ona go sobie nazywała *chabrykantem obuwia*, i tak jakoś zaspakajając własne sumienie, nie tylko pozwalała mu żyć na świecie, ale owszem słabość nawet jak się zdaje miała do niego niejaką, tem bardziej: że go protekcyją swoją zaszczycał brat jéj rodzony, pan Jacenty, niepospolity woźny, o którym będzie poniżej.

Dla czego zaś Jerzusiem ludzie go koniecznie zwali? Już to tak od dziecka trzeba wiedzieć przylgło do niego, nib szewcka smołay



Istotnie ulicą idąc opędzić się człowiek nie może.

Chłopak był do nietoperza podobny, kiedy nastał do terminu. Przyprowadziła go matka, zaklinając majstra, majstrowę i czeladników: żeby go czasem nie bili pocięglem, bo jest *honorowy*, a z resztą wykapanie podobny do swego ojca, najtęższego na cały pułk grenadyjera. Miała go oddać do fabrykanta ram złoconych, (ale nie męża, który już nie żyje, tylko tego oto jedynego robaka), sama zaś chodzi do prania za pięćdziesiąt groszy dziennie i trzy razy wódkę — w tem miejscu rozpłakała się babina nie wiadomo czemu.— A jak mu na imię? spytał majster. — Jerzuś. — Wszystkim się wydało że Jezus i zaraz przy téj zręczności Pietrek łobuz wierutny, od wielkiego śmiechu spadł z trójnogiego stołka.— Po ojcu nazywa się Migdalski rzekła na to kobieta — Panie świeć mi nad duszą — chcę mówić jemu — chcę mówić memu mężowi. .— Wtedy spostrzegli wszyscy: że była bardzo zmartwiona — po czem też wyszła, z wielką grzecznością drzwi zamykając.

Odtąd przychodziła ile razy mogła, upominając jedynaka: to żeby sobie szydłem oka nie wyjął, to żeby go nie przejechała kiedy dorożka, to żeby nie pił po tłustem, i tym podobnie. Przynosiła mu czasem orzechy i magagigi — ale to wszystko zjadali drudzy za niego, chętnie bowiem dawał drwić z siebie, i nigdy się nie gniewał — poczciwy koleżka.

Stopniowo przepłynęło w Wiśle wody nie mało — już i Pietrek wyrósł na Piotra aż i na pana Piotra — a Jerzuś jak nastał Jerzusiem, tak i pomimo wąsów (dość wprawdzie mizernych) pomimo wyzwolenia się na majstra, pomimo magazynu obuwia i dwóch szyb lagrowych, pozostał zawsze poczciwym, serdecznym, pociesznym sobie Jerzusiem, pokątnie nawet nazywany tak przez własnych terminatorów, acz nie tyle honorowych, żeby ich grzbiety, jak jego niegdyś, miały mieć wstręt do pocięgla.

Człowiek to był doprawdy pod śmieszną jakąś urodzony gwiazdą. Zawsze się potknął, zawsze upadł gdzieś, coś upuścił, rozwiązała mu się krawata. Nie żeby był niezgrabny, nieostróżny, niestaranny lub roztrzepany, ale że taką mu już wyznaczono dolę. W kościele nieraz, w czasie kazania, i to w najrzewniejszém miejscu kiedy wszyscy wzdychali, kto tam tak ni stąd ni zowąd kichnął rozgłośnie? to Jerzuś — nikt inny tylko on. Siedzi bywało w towarzystwie bardzo przyzwoitém, przy pannie jakiéj przyjemnéj — przez chwilę zrobiła się cisza; znagła się pod nim załamuje stołek — stołek najzdrowszy w świecie — nic nie pomogło. Raz go namówiono na *srebrną salę*. Tylko co się puścił w taniec, ażci dyjabli nadali gwóźdź jakiś w podłodze — runął, i sromotnie pękło mu ubranie...

Wszystko to zrobiło go dziwnie trwożliwym.

Z resztą, myślący to był człowiek i lubiący górne wyrażenia. Właśnie też nie co innego zjednało mu względy pana Jacentego, — nierównie jeszcze głębiej myślącego człeka.

ROZDZIAŁ V.

Pan Jacenty.

Pan Jacenty, nazwiskiem Gołaszewski, był mężem nie małej wagi. Miał wysokie o sobie przeświadczenie, któżby się temu śmiał dziwić?

Urząd który pełnił nazywał czasem posadą, ale najczęściéj położeniem, lub stanowiskiem.

— Posada, mawiał, co to jest posada? Ludziom to się zdaje: że to jest takie miejsce na którem dość tylko usiąść.

Tu pogardliwie wzruszał ramionami, i pogrążał się w znaczące milczenie.

Rzadko wyjaśniał: co rozumieć należy przez stanowisko; ale zdaje się że pod tą nazwą rozumiał możność stanowienia o losie drugich. Co zaś do położenia, to byli tacy co twierdzili: że je zasadzał na leżeniu do góry brzuchem i nic nie robieniu — była to jednak nieprawda, w Sądzie pokoju bowiem, jedyne położenie dozwolone jest siedzące, a znowu któż to taki pozwy doręcza i na ustęp wyprasza, — jeśli nie woźny?

Wątpliwości nie ulega: że te ubliżające wieści szerzyli o nim ptasznicy z Zapiecka,

gniewni, że wychowywał u siebie nie mało skrzydlatego towaru, który sprzedawał po zniżonych cenach. Upodobanie to, było nawet jednym z węzłów kojarzących go z Jerzusiem. Tylko że ten ostatni hodował kanarki, mając za grzech więzić ptastwo, które się zrodziło w swobodzie. Z tem się jednak nie odzywał, dla świętéj jak mawiał spokojności.

Właściwie zaś pan Jacenty miał to do siebie: że lubił rozciągać opiekę nad słabszymi, a za takiego uważał właśnie Jerzusia, o którym mniemał nawet: że *cały* byt swój zawdzięcza jego protekcyi. A ta protekcyja na czemże polegała? Miły Boże — zarekomendował go przecie pisarzowi, ale ten pisarz wyjechał na podsędka, i na tem się skończyło.

ROZDZIAŁ VI.

Julka.

Pan Jacenty z przyjemnością także Julkę wziął w opiekę. Nawet w głowę mu zajechało ożenić się pewnego dnia pięknego z tą małoletnią osobą. Tak jest, arcy nawet małoletnią, gdyż Julka w obecnéj chwili miała dopiero lat trzynaście. Fatalna liczba panie Jacenty! Jakże? Toż jéj najlepsze w głowie jeszcze świta, a tu człek taki poważny... Ha! ha! w starym piecu.... O! bardzo proszę....

Pan Jacenty był sobie jak się to mówi: kawaler marcowy. Rzeźwy sobie mężczyzna, w sile wieku, tego, (tak mu się wydawało w źwierciadle). Nosił wysokie kołnierzyki. Resztki włosów bardzo gładko z nad karku zaczesywał grzebykiem, co mu poniekąd robiło uszy za długie.. Ten grzebyk nieraz mu Julka wykradała z kieszeni — psotnica — postrzelona dziewczyna, kawałek ulicznika! Wtedy jeśli mu włosy na kołnierz opadły, co się ona z tego w kącie nie naśmiała! Grzebyk na podłodze leży — ha! — ha! sam wypadł własnym przemysłem — ha! ha! ha! albo to święci garnki lepią? ha! ha! ha!

Ta Julka była to sierota, którą pani Marcinowa wzięła do siebie, żeby to się nie poniewierało po ludziach, jak mówiła.

— Bo to dobréj familii, dodawała.

Co prawda, ojciec jéj był ślusarzem w fabryce fortepijanów, ale go pani Marcinowa nazywała fortepijanistą, (nawet po swojemu fortepianistym). Lubiła Julkę: że taka rezolutna, i że się w kaszy zjadać nie daje. Ale o zamiarach pana brata ani jéj się śniło. Ba, ba, stary bzika dostał, czy co? Tak sobie oto świat chcieć zawiązać.

ROZDZIAŁ VII.

Koń Trojański.

Pan Edward przyszedłszy po dniu białym obejrzeć miejscowość, pochodził trochę, poopatrywał, i znalazł kartę nade drzwiami sklepiku z następnym napisem:

„Pokuy do wyna Jeńca. z osubnem fhodem Wyadomosc w szklepie na dole.“

To zauważywszy, zaszedł do razury naprzeciwko, kazał się ostrzydz czy ogolić, i tam gawędził dosyś długo, mając czasu podostatkiem. Potem kupował gruszki u przekupki opodal, potém w sklepie korzennym chwilkę zabawił, i poszedł sobie jakby nigdy nic.

Po południu zjawił się znowu, i tak przechodząc niby, zaczął pilnie czytać kartę z ogłoszeniem. Pani Marcinowa stała we drzwiach sklepiku.

— Pan łaskawy mieszkania szuka?

Skłonił się z uszanowaniem.

— Właśnie takiego jak to, które tu widzę. Z osobnym wchodem — jak to ślicznie powiedziano.

— To moja córka pisała.

— Proszę. Ja myślałem że sztych. Panna widzę z edukacyją.

— No, nie chwalący się. Ale może pan szanowny spocznie chwilkę — zaraz klucze wyszukam.

Weszli do sklepiku.

— Wszak sama pani rewizorowa dobrodziejka? spytał grzeczny młodzieniec.

— Tak, panie dobrodzieju — mam zaszczyt. Ale to nie ja wynajmuję — tylko mię proszono. Ja oto w tej sklepinie nędznej biedę klepię — nie tak to dawniéj bywało... nie tak...

— O! zaraz widać. Czy to córeczka godna pani? — rzekł wskazując na Julkę.

— Nie. Moja córka do magazynu chodzi.



Pan Jacenty Gołaszewski
był mężem nie małéj wagi.

— Do magazynu! proszę. A jakże zdrowie szanowne godnego brata pani, pana Kalasantego Gołaszewskiego?

— Jacentego.

— Ach tak — Jacentego. Co też ja mówię! Osobiście, to nawet co prawda, nie mam zaszczytu znać, ale słyszałem, wiele, o! bardzo wiele.

— Skądże szanowny pan to wszystko — tego...

— Ach mój Boże! toż ja księdzu wikaremu dobrodziejowi wybornie znany jestem od dziecka. Dawniejszy jego uczeń, a jakże! Zacności człowiek, bardzo naukowy. Wszyscy się dziwią, że dotąd nie został proboszczem. Ale ja pani dobrodziejce drogi czas zajmuję, rzekł patrząc na zegarek, (złoty zegarek z dezik ą).

— O! wcale nie — Ja nie taka. Ale jeźli najszanowniejszemu panu *śpieszno* — Julko zaprowadź na górę. Ale to aż na trzeciem piętrze.

— Nic cudowniejszego. Widok musi być prześliczny.

— Na Wisłę.

— A! w to mi graj. A cena?

— Cztery ruble miesięcznie *przez obsługiwania* — bez obsługi chcę mówić — czy tam bez usługi...

Pomyślała chwilkę:

— Czużem to miała powiedzieć? A! i przez opału — bez opału... Dyjabli nadali — rzekła do siebie, tom się spisała, a wszystko z téj tam prędkości — co on pomyśli?

Ale pan Edward jak się zdaje nie pomyślał nic złego. Owszem cena wydała mu się umiarkowaną, zapragnął tylko co prędzej obejrzeć mieszkanie. Zaczem Julka wzięła klucz i poszli.

— Chłopak jak szkło — mówiła sobie pani Marcinowa — zna się na rzeczy. Rewizorowa dobrodziejka powiedział. To nie tam jakiś lada *chto*, widać zaraz wychowanie. I wikarego zna — moralny człowiek! — czy tylko zapłaci? A nuż mu się pokój nie spodoba? Co prawda, śmiecie w kącie leżą, lepiej było za piec zgarnąć, zaraz się to inaczej wydaje. Rewizorowa! Tak! tak, moja pani Pietrzycka, która myślisz: że na stu koniach siedzisz w téj tam twojéj razurze.

A cyrulik co? golibroda po prostu, i tyla. Albo i ta głupia straganiarka — Boże odpuść bez wychowania baba, wygadana. Kto nie w ciemię bity, ten wie co o kim sądzić. Rewizorowa dobrodziejka, hm, zaraz to widać — powiedział. Przystojny chłopiec, wcale niczego.

Rozmyślanie to pani Marcinowéj przerwał niebawem obcesowy powrót pana Edwarda. Tuż za nim i Julka przybiegła zdyszana. Mieszkanie okazało się zachwycające — sprowadzi się do niego dziś jeszcze — dał trzy ruble zadatku, i odszedł, ślicznie się nawet z ulicy kłaniając, tak że widzieli wszyscy sąsiedzi, a Pietrzycka aż pozieleniała ze złości.

— A to szaławiła co się nazywa przyzwoity — pomyślała pani Marcinowa chowając pieniądze, wszystko duchem robi, właśnie jak lubię. Julko rzekła do dziewczyny, a byłaś ty grzeczna dla tego pana?

— O jéj! *dziesiątkie* mi dał, i chciał mię pocałować.

— A ty co? —

— Ja mu pokazałam figę i powiedziałam aha! jutro! — a on się porwał za boki, i po tém zleciał ze schodów jak bomba, śpiewając tam coś z pięknej Heleny. Dudniało, aż strach.

— A tyś pewnie kanalijo po poręczy za nim zjeżdżała? już ja cię znam — przyznaj się.

— Nie, jak Bozię kocham, tylko do *pierwszego* piętra. Ale wie matuchna co? — to ładny chłopiec — prawda?

— A do pacierza ty smarkata! dam ja tobie obaczysz.

I pomyślała: — Całą *gięba* wesoły łobuz niech go dyjabli.... ha! ha! ha! (d. c. n.)

Ustrój materyi.

Składniki materyi w organizmie ludzkim — Atomy i ich wymiary. —Słowa Pascala.— Zadziwiająca podzielność materyi. Spostrzeżenia Tyndalla nad atmosferą. —Doświadczenia z żywicą kwasem siarczanym i ałunem.—Obliczenia subtelne Thompsona i Gandina.—Ile atomów mieści się w główce od śpilki? Co stanowi zasadniczą różnicę atomów.— Poglądy metafizyczne Faraday'a, Henryka Sainte-Claire.—Devilie'a i Berthelota.— Jeometryczne układy atomów. — Kierunek równoległy i prostopadły do osi skupienia. Węgiel główny pierwiastek materyi organicznej.—Różnice materyi ożywionej od nieożywionej.—Przeobrażenia zarodkowe. —Zarodek lwa i myszy.—Wrażenia i dusza. — Inteligencyja człowieka w pyłku zarodkowym zawarta —Wyniki ostateczne fizyki.

Materyja przedstawia się nam pod najrozmaitszemi postaciami.— Rozpatrzmy się naprzykład w ciele ludzkiem, w którem przejawia się jako najwięcej złożona.

Nóż anatomiczny uwidoczni nam organa, składające się z tkanek. Rozbiór tkanek okaże nam elementy anatomiczne w których znowu analiza znajdzie pewną liczbę zasad chemicznych.— Tu zadanie anatoma kończy się, a natomiast rozpoczyna chemik swe poszukiwania. Ten w owych zasadach odnajdzie rozmaite związki w stosunkach oznaczonych i niezmiennych, a z nich wydzieli pewną ilość tak zwanych pierwiastków, czyli ciał prostych. Z analizy tej otrzyma on ostatecznie węgiel, azot, tlen, wodór, siarkę, fosfór, wapń i żelazo—ciała proste nie dające się dalej już rozkładać.

Wiadomo nam dziś, że materyja nie jest nieskończenie podzielną — że najdrobniejsze cząsteczki pierwiastków istniejących w związkach naturalnych, nie przedstawiają ani jednakowej wagi ani jednakowych wymiarów. Chemija potrafiła oznaczyć wagę atomów i rozmaitych elementów, biorąc za jednostkę porównawczą atomów, najlepszy pierwiastek to jest wodór. Porównywając z tą jednostką atomy innych ciał oznaczyła ich wagę stosunkową. Chociaż wielu uczonych poczytuje jeszcze wagi atomowe za proste stosunki, a byt tych atomów za czystą hipotezę wskazaną przez logikę—większość przecież badaczy, obznajmionych bliżej z tém trudném zagadnieniem, uważe te atomy za istniejące w rzeczywistości, jakkolwiek oznaczenie ich wymiarów nie jest jeszcze dokładne.— W każdym razie nie ulega wątpliwości, że te wymiary są nieskończenie drobniejsze od wszelkich cząstek na jakie moglibyśmy podzielić ciała. Niech człowiek, powiada Pascal, szuka w pośród znanych mu przedmiotów cząstek najdrobniejszych—niech bada naprzykład w kleszczu nogi ze stawami, żyłki w nogach, krew w żyłkach, humory we krwi, niech wysilając się na pomysły, podzieli to na najdrobniejsze cząstki, rozumiejąc że dosięgnął granicy małości w naturze— przedstawię mu nową przepaść— odmaluję mu nietylko świat widomy, ale nadto to wszystko co może ten świat objąć—niewymienność natury w obrębie nieujętego atomu.

Pascal mówi tu o świecie rzeczy nieskończenie małych—mikroskop aż nadto usprawiedliwił jego przewidywania. Jednakże ten świat mikroskopowy, którego najmniejsi reprezentanci jako to wibryjony, bakteryje, posiadają zaledwie wielkość dochodzącą $^1/_{10000}$ milimetra, jakże jest jeszcze olbrzymim w porównaniu z wymiarami cząstek wyziewanych przez ciała wonne lub z niezmiernie maleńkiemi ilościami ciał niewidzialnych, jakie dziś chemija, fizyka i mechanika wymierzają. Podamy tu kilka przykładów aby w téj kwestyi czytelnik nabył choć słabego wyobrażenia.

Według Tyndalla, gdy cząstki stałe nadzwyczajnie maleńkie, mniejsze od fal świetlnych zapełniają ośrodek przez który przepływa światło, to rozkłada się w ten sposób, że najmniejsze fale to jest błękitne, przeważają w promieniach odbitych a największe to jest fale czerwone w przesyłanych.—Genijalny fizyk angielski wyjaśnia w ten sposób, że kolor błękitny nieba pochodzi od cząstek stałych, niezmiernie delikatnych w nieskończonej liczbie rozproszonych w atmosferze. Tyndall przypuszcza że te cząsteczki nieujęte, mogą być zarodkami organizmów mikroskopowych, których byt w atmosferze, i znaczenie w zjawiskach gnicia i fermentacyi wykazały doświadczenia Pasteura. Jajka tych jestestw, które dochodząc zupełnego rozwoju są zaledwie widzialne pod mikroskopem—jestestw tak licznych że liczba ich przechodzi wszelkie pojęcie jak to uwidomiły stanowcze doświadczenia,— jajka te powtarzamy, byłyby więc elementami tego eteru zapełnionego życiem, tego pyłku nadającego kopule nieba łagodny odcień lazurowy. W atmosferze powiada Tyndall, istnieją cząstki materyjalne niewidzialne nawet pod mikroskopem. Najczulsza szalka ich nie zważy, a jednak nie zaciemniają one powietrza, chociaż nagromadzone w niem w takiem mnóstwie, że hiperbola izraelitów o liczbie ziarn piasku morskiego, staje się w porównaniu z niemi nic nieznaczącą.

Chcąc dać wyobrażenie o maleńkości tych cząstek, Tyndall dodaje, że zgęszczone mogłyby pomieścić się w walizie damskiéj. Widocznie cząstki te nie mogą być ujęte wzrokiem ani wymierzone bezpośrednio. Nie możemy okazać w rzeczywistości tych cząstek eteru, chociaż fakta pozwalają nam je pojąć i ocenić. Rozpuśćmy gram żywicy w stu gramach alkoholu, i przelejmy czysty roztwór do filaszki napełnionej przejrzystą wodą, poczem tę mięszaninę żywo skłóćmy. Żywica osadzi się w postaci niewidomego, nieujętego pyłku, który prawie w niczem nie naruszy przezroczystości wody. Jeżeli następnie po za flaszką umieścimy jaki przedmiot z powierzchnią czarną, i przepuścimy światło padające z góry lub z przeciwnej strony powierzchni flaszkę zaciemniającéj, płyn zabarwi się kolorem przypominającym błękit nieba. A przecież używając najsilniejszego mikroskopu celem wyśledzenia pyłków żywicznych w tej mięszaninie wody i alkoholu, bynajmniej nic a nic nie dostrzegamy. Wielkość ziarn tego pyłku nie dochodzi nawet $^1/_{10000}$ części milimetra!

Morzen odbył jeszcze ciekawsze doświadczenie dowodzące nadzwyczajnej podzielności materyi. Siarka z tlenem tworzy związek zwany przez chemików kwasem siarkowym. Jest to gaz bezbarwny duszący, który można otrzymać zapalając naprzykład zapałkę siarkowaną. —Morzen zamyka pewną ilość tego gazu w retorcie i tę pomieszcza w miejscu ciemnym, poczem przepuszcza przez nią promień żywego światła. Z razu nic nie widać, w krótce jednak w przepływie promienia oświetlonego dostrzegamy prześliczny kolor błękitny. Jakiejże przyczynie mamy to zjawisko przypisać?

Otóż gaz siarkowy rozłożonym został przez fale świetlne, w skutek czego niewidzialne cząsteczki siarki oswobodzonej, rozłożyły z kolei światło. Gaz błękitnieje coraz żywiej, potém staje się białawym, wreszcie zmienia się w białą chmurę. Cząstki okładowe tej chmury są jeszcze niewidzialne nawet pod silnym mikroskopem, a jednak są one nieskończenie większemi od atomów błękitu firmamentu; który nam przejawił się z początku w retorcie. W doświadczeniu tém zachodzą nieprzerwane przejścia atomów siarki oswobodzonych od tlenu do masy podpadającej już nam pod zmysły, — jeżeli jednak ta masa składa się z molekułów swobodnych niewidzialnych pod mikroskopem, jakże drobnemi muszą być cząstki z których molekuły powstały.

Jeszcze jeden fakt wymowny uzupełnia świadectwa drobiazgowości elementów materyjalnych. Wlewając do czystego roztworu siarczanu potażu, również czysty roztwór siarczanu glinki, mięszanina natychmiast staje się mętną, a po upływie kilku sekund występują w płynie milijardy małych kryształów skrzących jak dyjamenty, które są nie czém innem tylko kryształami ałunu. Jeżeli przypuścimy że średnica tych kryształów wyrównywa jednemu milimetrowi: wypływa z tego doświadczenia, że w ciągu kilku sekund wytworzyły się kryształy obejmujące milijardy molekułów z których każda składała się z dziewiędziesięciu czterech atomów i ugrupowała w przedziwnej harmonii z innemi. — Ruchy atomów chemicznych zachodzą pod wpływem tychże samych sił, jak ruchy olbrzymich skupień atomowych zwanych gwiazdami. Obrót słońca około innego słońca trwa tysiąc lat, atomy zaś wchodząc w związki odbywają milijony obrotów w milijonowej cząstce sekundy.

Thompson opierając się na subtelnych obliczeniach, okazał, że w płynach i ciałach stałych, przezroczystych, średnia odległość środków dwu atomów sobie przyległych, dochodzi od $^1/_{10,000,000}$ do $^1/_{200,000,000}$ cząstki milimetra. Niepodobna nam sobie wyobrazić tak małych wymiarów, o których zresztą żaden przedmiot podpadający nam pod zmysły, nie może dawać pojęcia.

Thompson posługiwał się w ocenie tych odległości następnem porównaniem:

„Wyobraźmy sobie—mówi on— kulkę objętości grochu, wzrastającą do wyrównania objętości ziemi, oraz że atomy tej kulki powiększają się w tymże samym stosunku,—te będą naówczas przedstawiać średnicę większą od ziarnka ołowiu a mniejszą od pomarańczy. Innemi słowy atom pozostawać będzie w stosunku do kuli posiadającej wymiar grochu w jakim znajduje się pomarańcza odniesiona do kuli ziemskiej. Gaudin oznacza wymiary najdrobniejszych cząstek materyjalnych w cyfrach zbliżonych do Thompsona, opierając się na badaniach molekułów chemicznych i zjawiskach włoskowatości. Największa odległość od siebie atomów chemicznych w molekułach, wynosi $^1/_{10,000,000}$ część milimetra.

Gaudin usiłuje równie jak Thompson dać pewne wyobrażenie o małości podobnych wymiarów, nie przystępnéj dla naszego pojęcia. Na podstawie powyższej cyfry oblicza on ilość atomów chemicznych zawartych w objętości główki od szpilki, i znajduje ją odpowiadającą liczbie—8,000,000,000,000,000,000,000. — Owóż chcąc uzmysłowić sobie lepiej ilość atomów metalu, zawartych w główce od szpilki, potrzebaby było myślą odejmować w każdej sekundzie po milijardzie, a obrachunek ten trwałby 250,000 lat!

Istnieją więc atomy w materyi, nie stanowią one przecież rzeczywistych jéj pierwiastków. Gdybyśmy rozłożyli materyją na atomy, potrzeba byłoby jeszcze poddać je analizie. Weźmy pod uwagę dwa jakiekolwiek atomy różnorodne, naprzykład atom wodoru i atom żelaza i poszukajmy czem głównie one różnią się od siebie. Zapewnie nie będzie pomiędzy niemi stanowić różnicy postać, twardość, dźwięczność, blask, ponieważ własności te zależą jawnie od ugrupowania się i układu pomiędzy sobą atomów. Nie będą również różnić się między sobą własnościami cieplikowemi, optycznemi, elektrycznemi, magnetycznemi, ponieważ te własności wypływają z ruchów eteru zachodzących w atomach dwu ciał powyższych. Owóż jeżeli te atomy nie różnią się od siebie żadną z wyżej wymienionych własności, to różnicę między niemi stanowić tylko może wymiar i waga.

Tyndall w biografii Faraday'a, powiada, że jedno z ulubionych doświadczeń tego fizyka, malowało go najdosadniej. Lubił on przypatrywać się jak woda krystalizując się wydziela z siebie wszelkie materyje obce, chociaż te mogłyby z nią tworzyć nierozdzielną całość. Kryształ oswobodzony od nieczystości staje się jasnym i przezroczystym.—Doświadczenie to daje nam widoczny obraz stanowiska Faraday'a, w metafizyce. Umysł jego wznosił się w krainy czystej wiedzy, lubił rozmyślać nad zagadnieniem jakie nas w téj chwili zajmuje.

Czy możemy pojąć materyją oddzielną od siły, i od niéj całkiem niezależną lub siłę odosobnioną od materyi? Oto kwestyje zaprzątające jego myśli. Według Faraday'a, materyja wypełnia całą przestrzeń—ciążenie powszechne jest niczem innem, tylko jedną z sił tworzących materyję, a być może wyłączną tylko jéj siłą.

Henryk Sainte-Claire Deville wprost nam oświadcza, że gdy ciała poczytywane za pierwiastki łączą się z sobą, w związku tym znikają całkowicie. Według niego w siarczanie miedzi nie ma ani siarki ani tlenu ani miedzi. Siarka, tlen, miedź, powstały z jednej materyi—różnice między niemi zachodzą tylko w skutek odmiennych ich wibracyj.

Przed dziesięciu laty Berthelot utrzymywał że atomy pierwiastków mogły być utworzone z jednej materyi, różniących się jedynie naturą ożywiających je ruchów.

Są to niezaprzeczenie piękne hipotezy metafizyczne, którym przecież dziś jeszcze brak podstaw doświadczalnych, pozytywnych. — Materyja nie może istnieć bez siły, téj znowu nie możemy pojąć w odosobnieniu od materyi. W każdym jednak razie źródło siły spoczywa w materyi, i z nią tworzy węzeł nierozerwany.

Zwróćmy się do ustroju atomów. Znachodzimy nietylko w ich układzie rozmaitość, ale nadto pewne prawa w ich uporządkowaniu. Atomy układają się w pewnych stosunkach i w pewnym kierunku. Gaudin wydał niedawno dzieło rozbierające geometryczne kształty atomów. Okazuje on nam że wszelkie molekuły chemiczne zdolne lub nie zdolne do wytwarzania kryształów, kształtują się w skutek symetrycznego ugrupowania się atomów. Te układają się do równowagi w dwu kierunkach do siebie prostopadłych. Z tych jeden jest równoległym do osi skupienia, drugi do niej prostopadłym, w skutek czego powstaje figura symetryczna. Ciała najwięcej złożone mają atomy ugrupowane w pryzmaty i w piramidy lub w w bryły wieloboczne najdoskonalej regularne.

Przechodząc od materyi nieorganicznej, do organicznej, spostrzegamy że jej elementy anatomiczne nie są jednorodne i symetryczne we wszystkich punktach swei masy, lecz powstają z połączenia pewnej liczby pierwiastków w pośród których—główne miejsce zajmuje węgiel.

Pierwiastki te nieustannie odżywiają swe molekuły przechodząc w rozmaite przekształcenia. Własności ich pozostają w stanie równowagi tak niestałej, że najmniejsza zmiana zachodząca w ośrodku ich otaczającym, dostateczną jest do wywołania zmian ich działalności — innemi słowy elementy organiczne niezmiernie są wrażliwe.

Między przyrodą ożywioną a nieożywioną istnieją różnice. Sztaba żelazna, kryształ lub pyłek tego metalu, nie przestają być żelazem. Materyja organiczna, zanim powołaną zostanie do wejścia w związek z orgnizmem jest niczém a raczej jest nieokreśloną. Nie może ona przejawiać swej działalności, nie może stać się żywą, dopóki nie zajmie odpowiedniego miejsca w całości, nie połączy się z materyjami jej podobnemi. To co zachodzi w jajku jest obrazem tego co spełnia się we wszech świecie! Zmiany zachodzące w kropli śluzu organicznego są kopiją tych, jakie przejawiają się w działalności natury nieorganicznéj. Zarodek z razu jest masą jednorodną mikroskopową. W krótce jednak ruch przejawia się w jego atomach bezwiednych—ruch pochodzący z pierwszego zgęszczenia się materyi zarodkowej przedstawiającej się w postaci pęcherzyka. Ten wkrótce znika, a natomiast występują nowe wibracyje sprowadzające nowy układ molekułów. Materyja zarodkowa wydyma się ku obwodowi, a skupia ku środkowi tworząc tam jądro. To z kolei rozdziela się na mnóstwo jąder drugorzędnych, a około każdego z nich, nagromadza się masa zarodkowa. W miejsce jednej komórki powiększonej, jajko obejmuje już ich mnóstwo. Komórki zarodkowe usiłują wówczas ułożyć się we dwie warstwy w pośród których, występują i rozwijają się elementy zarodka, w których rodzą się nieustannie nowe siły i nowe kształty.— Jakaś tajemnicza potęga ożywia formy materyi organicznej w jajku. Wszystkie jajka w pierwocinach swego rozwoju są sobie podobnemi. Zarodek z którego rodzi się lew i zarodek wydający mysz, niczym z razu od siebie się nie różnią. Materyja obu i ich budowa są też same. Kształt jest identyczny, chociaż w dalszym rozwoju zarodków powstają znaczne różnice. Pod wpływem sił fizyko-chemicznych zachodzą te cudowne przemiany, w ustroju materyi organicznej.

Lew odróżni się najwyraźniej od myszy. Podobieństwo ich zarodkowego ustroju wskazuje nam tylko identyczność materyi je składającej a tem samem pokrewieństwo pochodzenia.

Zjawiska umysłowe należą do najpiękniejszych najwięcéj zdumiewających wytworów organicznego procesu. Czym są pokarmy dla żywienia się ciała, tym są wrażenia dla myśli. Duszę możnaby porównać z papierem zapisanym atramentem sympatycznym. W temperaturze zwykłej pismo jest niewidomem, zbliżając wszakże papiér do ognia występują litery pięknie zabarwione. Podobnież dusza posiada rysy niewyraźne, które jednak pod wpływem wrażeń występują w całym swym blasku. Średnica zarodka posiada zaledwie rozciągłość dochodzącą $^1/_{10,000,000}$ milimetra, a jednak w tym drobiazgowym ustroju materyi, są uśpione siły i dążności życia, mieści się cała inteligencyja człowieka.

Fizyka dziś sprowadza wszystko do wibracyj według niej zjawiska fizyczne są wypadkami ruchu atomów i eteru, a te ruchy przeistaczają się jedne w drugie według prawa matematycznego. Ciepło przekształca się naprzykład w pracę podobnież i elektryczność. Z tajemniczych przemian zachodzących w organizmie powstaje siła którą nazywamy życiem.

Wincenty Niewiadomski.

ZARYSY
Guberníj północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina:

Posłuszny wezwaniu Szanownej Redakcyi ,,Opiekuna Domowego" starać się będę zaznajomić czytelników z Rusią Zachodnią i Litwą, mając na względzie nie same tylko wspomnienia dziejowe, ale i stan obecny tych prowincyj, a więc zarysy statystyczne i ekonomiczne. Przebiegając kraj ten cały t. j. dziewięć gubernij Zachodnich, nie zaniedbam zwrócić uwagę na wszystkie znaczniejsze miejscowości nieopuszczając ważniejszych przynajmniej szczegółów z dziedziny etnografii i archeologii.

Takim jest program niniejszéj pracy.

I.

Sławianie zamieszkali na ziemi obecnie przez Ruś Zachodnią zajmowanej, znani byli kronikarzom jeszcze przed Chrystusem. Handel i przemysł ich, od najdawniejszych czasów sięgał aż do Arabii. Plemiona te podzielone na wiele części, niejednokrotnie ulegały przemocy obcych; nigdy jednak niepozwoliły obcemu najezdcy ostatecznie i na zawsze zagarnąć swych posiadłości. Już od IX i X wieku zaczynają wzrastać w potęgę i zamożność prastare grody słowiańskie: Kijów, Połock, Turów, Łuck, Halicz, Przemyśl, Beresten (dzisiejszy Brześć), Izasław i. w. i.

Aż do IX wieku żaden kronikarz nie wspomina nigdzie o Rusi. Zawsze mowa o sławianach, pokrewnych duchem i językiem, chociaż niejednokrotnie szarpanych niezgodą do-mową. W IX wieku stał się fakt r[illegible] w dziejach: plemiona niezależne od siebie [illegible]

czą się i z własnego natchnienia oddają się pod władzę trzech książąt, przez nich zaproszonych, Ruryka, Sinensa i Truwora, którzy dzielą pomiędzy siebie plemiona słowiańskie i panują nad niemi, ulegając władzy głównego, wielkiego księcia, który Kijów na swą stolicę przeznaczył.

Książęta ci byli *Rusini*, z Pomorza baltyckiego, a od nich i cały kraj *Rusią* nazywać się zaczął.

Ale skąd przyszli ci Rusini, z którego pomorza baltyckiego, kwestyja dotąd ostatecznie nierozstrzygnięta. Długo sądzono, że byli to Warengo-Rusowie, ze Skandynawii. Pochwycono to zdanie i przez całe wieki trzymano się go jak dogmatu. Znany historyk rosyjski, Mikołaj Kostomarow pierwszy zwrócił uwagę że jest rzeka *Roś* na Żmudzi, jest gród prastary *Rosienie*, że niziny Niemnowe na Żmudzi nazywają się *Rosią*. Daleko więc większe prawdopodobieństwo, że owi książęta przyszli z Litwy, z nad Niemna i Rosi. Teoryja ta Kostomarowa wywołała do dziś dnia nieustającą polemikę. Pogodin uporczywie trzyma się tradycyjnego podania, t. j. że owi Rusini byli Waręgowie ze Skandynawii. Iłowajski nie wierzy temu; sądzi bowiem, że Rusini byli aborygenami tej ziemi, że wcale z zamorza książąt do siebie nie wzywali. Kwasznin Samaryn chętniej się zgadza z Kostomarowym, bo powiada, można robić jakie się podoba dowolne przypuszczenia; ale z Rosieniami na żmudzi i rzeką Rosią nie damy sobie rady"

Historyja i głębsza krytyka dziejowa niewyświetliła jeszcze w zupełności stosunku książąt litewskich do rusińskich. Wszakże coraz więcej przybywa źródeł, które domyślać się każą, że pochodzili oni z jednego rodu, że był jeden dom panujący w obu krajach, na dwie tylko gałęzie podzielony.

Ruś została chrześcijańską w wieku X. Litwa zaledwo w XIV. Nieprzerywało to jednak stosunków. Owszem, stosunki te wzrastały i Rusini chrześcijanie ulegali chętnie władcom Litwinom jeszcze w bałwochwalstwie zostającym.

Co do Litwinów badania historyczne nierozwikłały kwestyi czy byli aborygenami tego kraju, czy też przybyszami, w dalekiej przeszłości. Szafarzyk mniema, że Litwini i Słowianie w epoce przedhistorycznej byli szczepami jednego plemienia; lecz później tak się wyróżnili i odosobnili, że trzeba by ich uważać za dwa odrębne narody, chociaż ze wszystkich Indo-Europejskich ludów najwięcej pokrewne. Niemożna bezwarunkowo zgodzić się z tem zdaniem znakomitego badacza starożytności Słowiańskich. Sądzilibyśmy raczej przeciwnie, że Słowianie i Litwini w epokach przedhistorycznych należeli do zupełnie odrębnych szczepów; ale wypadki historyczne w późniejszych czasach tak ich zbratały, że Litwini zostają w najbliższem spowinowaceniu ze Słowianami.

Już w V wieku po Chr. Litwini mieszkali na tem samem miejscu. Świadczą o tem sagi skandynawskie. Od tego zaś czasu aż do IX wieku widzimy częste najazdy Skandynawów czyli Normannow; wielu z nich siedliło się śród Litwinów, i rzecz dziwna, ci przybylcy przenarodowiali się, zostawali Litwinami, a to tak dalece że znany podróżnik Luorro—Sturlezon Duńczyk w XII wieku śród mieszkańców w Wilnie, zaledwo po niektórych wyrazach mógł domyślać się mowy swoich pobratymców.

Początki dziejów właściwej Litwy są ciemne. Od X wieku mamy szereg panujących na Litwie; byli to raczéj udzielni *kunigasy*, t. j. władcy na niewielkich księstwach, łączący się ze sobą tylko w ważniejszych wypadkach. Wiadomości o nich niepewne.

Bezwględna krytyka historyczna nie zawsze poprzestać może na wątpliwych źródłach jakie posiadamy do XII wieku.

W r. 1040 widzimy już pierwszą stolicę Litewską w *Kiernowie*, przez Kiernusa założoną.

W r. 1226 Ryngold pierwszy występuje jako widoczniejsza postać dziejowa i przenosi stolicę z Kiernowa do Nowogródka.

Ryngold był poganinem, gdy prastary Nowogródek był osadą słowiańską, chrześcijańską. Wkrótce i najstarożytniejsze księztwo słowiańskie, Połockie, należało już do Ryngolda.

Jeszcze wybitniejszą postać widzimy w *Mendogu*, bohaterze znakomitym, któremu może cała Europa zawdzięcza swe ocalenie od najścia dzikich hord mongolskich, niepokonanych do owego czasu przez nikogo. Mendog pierwszy zadał im cios straszny w bitwach na *Szejbak-polu*, w wojew. Wileń. i pod *Kojdanowem* w wojew: Mińskiem. Mendog poganin stał tu na czele wszystkich prawie książąt rusińskich, chrześcijan. Potem dopiero Mendog przyjmuje wiarę chrześcijańską obrządku rzymsko-katolickiego. Papież Inocenty IV obdarza go jako wybawcę tytułem króla Litewskiego, a przysłani przez Ojca św. biskupi koronują go uroczyście w Nowogródku w roku 1259.

Lecz później tegoż Mendoga jak również i następców jego widzimy znowu bałwochwalcami. Trudno uwierzyć, ażeby władcy Litwy w owej epoce zostawali jeszcze w pogaństwie; musiały chyba być do tego powody czysto polityczne; pogaństwo to musiało być pozorne tylko, ażeby utrzymać przewagę nad Litwą pogańską, którą krzyżacy, po niemiecku, ogniem i mieczem na wiarę nawrócić usiłowali, wzbudzając raczej wstręt do wiary.

Zatrzymajmy się teraz choć na chwilkę na wielkiéj postaci Gedymina, który pierwszy używać zaczął tytułu *Wielkiego Księcia Litewskiego i ruskiego*. Od tego czasu w dziejach nazwa Rusi jednoczy się z Litwą. Litwa, to znaczy i Ruś, bo wspólnie tworzyły jedno potężne państwo. Gedymin był już panem na zachodzie ziem nowogrodzkiéj, krewskiéj, połockiéj mińskiéj. turowskiej, witebskiej, mścisławskiej, ale posiadłości jego wkraczały daleko i na południe. Ciekawy nadzwyczaj pochód zwycięzki Gedymina w owe kraje. Włodzimierz Wołyński, Łuck dobrowolnie otworzyły przed nim swe bramy — Kijów tylko stawił opór. Panował tam książe Stanisław, syn Mieczysława, i nie chciał ustąpić. A więc Gedymin obległ Kijow. Po dwu miesiącach: mieszkańcy sami bramy miasta otworzyli. Inne miasta już bez kropli krwi przelewu dostały się Gedyminowi, Kijów nie dawno przed tém zburzony i zrabowany przez Mongołów przedstawiał sami zgliszcza i ruiny. Gedymin z pod gruzów go dźwignął i zgliszcza zaludnił. Ale nieosiadł w Kijowie. Kochał on swe lasy i góry litewskie; przeniósł się nawet z Nowogródka w samo serce Litwy, naprzód do Trok, a później do Wilna, i wzniósł w nich wspaniałe zamki.

Olgierd i Kiejstut, synowie Gedymina jeszcze więcéj podnieśli potęgę i świetność Litwy. Zwycięzki oręż Olgierda oparł się aż o Krym. Krzyżacy i Tatarzy niejednokrotnie byli pobici przez niego. Znakomity bojarzyn Olgierda, Gasztold, ożenił się z polką Buczacką, przyjął wyznanie katolickie i fundował klasztor franciszkanów w Wilnie. Sam Olgierd po podbiciu Chersonesu Taurykckiego przywiózł do Wilna Obraz Matki Boskiéj, słynnéj opiekunki Litwy, głośnéj cudami ostrobramskiéj Bogarodzicy. Małżonka Olgierda, Maryja fundowała cerkiew obrządku wschodniego pod wezwaniem św. Praksedy (Parasceriwi, albo Piatnickiéj), druga zaś, Julijanna, była założycielką innej cerkwi, pod wezwaniem N. M. Panny, która późniéj na Katedrę metropolitalną zamienioną została.

Któż niesłyszał o wybitnéj postaci Kiejstuta któż nie zna tego rycerza bohatera? Każdy wyraz jego był wyrocznią dla krzyżaków. Ujęty w niewolę, a zapytany, czy Wasza książęca Mość raczy uciecz—skoro odpowiedział że *nie*, nikomu i przez myśl nawet nieprzeszło aby go pilnować. Lecz gdy odpowiedział, że uciecze, żadne kajdany i liczna straż nic niepomogły—uciekł. Jak Świętosław kijowski, tak samo Kiejstut nieuszedł nigdy wrogowi zdradziecko, niespodzianie, lecz wprzód zapowiedział mu: bądź gotów, idę bić się z tobą.

Kiejstut i jego piękna małżonka, natchniona wajdelotka Biruta—to ostatnie doniosłe postacie pogańskiéj Litwy, a pamięć o nich żyje i dotąd w pieśniach i podaniach ludowych,

W r. 1387 Jagiełło małżonek Jadwigi, wprowadza do Litwy wiarę katolicką. W r. 1401, 1413 akty wileński i horodelski określają pierwszy zawiązek unii.

Taki jest początek dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W chwili zawarcia pierwszego sojuszu z Polską—Litwa i Ruś posiadały już znakomite zasoby dla przyszłego rozwoju cywilizacyjnego i państwowego. Ruś miała już swego Nestora latopisca, z wieku XI. We sto lat po nim, w Inflantach śród Łotyszów znalazł się kronikarz Litewski, znany pod imieniem Henryka Łotysza. Słowianie dumni są ze starożytnego poematu „Pieśń o półku Igora“ a przecież był to utwór na ziemi Rusińskiéj zrodzony, poprzedził zaś go inny jeszcze poeta, wieszczy Bojan.

Aż do śmierci ostatniego Jagiellona miała Litwa swych wielkich książąt z tych zaś Kazimierz, Aleksander, Zygmunt Stary i Zygmunt August byli zarazem i królami polskimi, chociaż niezawsze jednocześnie. Tak naprzykład Kazimierz w 8 roku panowania w Litwie został i królem polskim, po śmierci Władysława Warneńczyka—tak samo. Aleksander będąc już wielkim księciem litewskim wstąpił i na tron polski po zgonie króla Olbrachta.

Za życia Jagiełły 38 lat rządził Litwą brat jego stryjeczny, sławny Witold, syn Kiejstuta i Biruty. Był to najznakomitszy z monarchów w owym czasie, co mu i nieprzyjaciele przyznawali. Nie mamy dotąd krytycznéj i su-

miennéj historyi tego bohatera, historyi, któraby wyświeciła wielkie jego czyny i obaliła wiele przesądnych pojęć jakie się zaszczepiły o nim, a które rozpowszechnione zostały przez krzyżackich latopisów i przez nienawiść osobistą Zbigniewa Oleśnickiego, który, jak wiadomo, miał wielki wpływ na Długosza.

Kiedy Witold objął rządy wielkiego księstwa, stan Litwy niebył już taki świetny, jak za Olgierda. Władza wielko-książęca niemiała téj przewagi co dawniéj. Ruś i Litwa były podzielone między 12 synów Olgierda, a w. księciem był najmłodszy i najniezdolniejszy Jawnut. Jagiełło strącił go z wielkiego księstwa, zdradziecko zamordował Kiejsuta i sam objął rządy, lecz był za słaby ażeby poskromić butę udzielnych książąt. Rozterki wewnętrzne krwią bratnią własny kraj broczyły. Najazdy Krzyżaków nie ustawały. Mongolskie zgraje niepokoiły południe. Wewnątrz był nieład, brakło jedności władzy, wymiaru sprawiedliwości.

Lecz Witold był mężem czynu, był wyższym nad swój wiek, miał siłę woli żelazną, rozum niepospolity, otrzymał nawet wykształcenie no owe czasy wielkie. Zdołał przeto zaradzić złemu. Poskromił butę możnowładców, zlał w jedną potężną całość posiadłości udzielnych książąt, innych mianując swoimi namiestnikami. Sławne są jego podboje na Południu. Już księstwa Czernichowskie do niego należały. Dzisiejsze gubernije Orłowska, oraz część Kałuskiej i Tulskiéj, a nawet na północy Wielkie Łuki i Rżen stały się również jego własnością. Granice państwa Litewskiego sięgały tak daleko, jak nigdy przed tem. Czternaście dzisiejszych gubernij rossyjskich, od Baltyku do morza Czarnego, od Bugu do morza Białego, stanowiły Litwę ówczesną.

Ktoż niesłyszał o sławnéj bitwie Grünwaldskiej, 1310 r. która cios ostateczny krzyżakom zadała. Do tego zwycięztwa najdzielniéj przyczynił się Witold. Jagiełło przyprowadził 60,000, Witold 103,000 wojska. Były to 40 chorągwi litewskich, rusińskich i tatarskich.

Hordy Tatarskie były już upokorzone, tak dalece, że władcy kipczackiéj hordy, chcąc osiągnąć tron chański do Wilna przyjeżdżać musieli i błagać o zezwolenie Witolda. Tak było z Betsabułą, tak było z Heremferdenem, których w Wilnie Witold mianował chanami i sam włożył na nich godła władzy, czapki chańskie.

Sławne Rzeczpospolite Nowogrodzka i Pskowska, płaciły mu daninę.

Księstwa rjazańskie, twerskie, zostawały w ścisłych stosunkach przyjaznych z Witoldem.

Wielki kniaź moskiewski Wasil, żonaty z córką Witolda, Zofiją, w aktach współczesnych mianuje Witolda swoim *hospodarem i hospodynem.*

Dla poddanych swoich greckiego obrządku Witold utworzył metropolię kijowską, mianując pierwszym metropolitą Grzegorza Cemblaka.

Jak wielkie było znaczenie Witolda w Europie dość jest wspomnieć, że w Łucku w r. 1429, przyjmował u siebie Witold w gościnie oprócz króla Jagiełły z małżonką jego Zofiją, Holszańską, cesarza rzymskiego Zygmunta z cesarzową Barbarą oraz licznym orszakiem książąt, hrabiów i baronów niemieckich i czeskich: króla Duńskiego Eryka, chanów trzech hord mongolskich, Elijasza hospodara wołoskiego, wielkiego mistrza rycerzów mieczowych Sigfrida, nuncyjusza papiezkiego ks. Andrzeja a nadto książąt rozmaitych, posłów od innych władców Europejskich i t. d.

Szanowne to grono hojnie podejmowane bawiło 7 tygodni, a jak przytacza kronikarz zjadało dziennie 700 wołów 1,400 baranów, 100 żubrów, 100 dzików. wypijało zaś 700 beczek wina. A stoły, dodaje kronikarz, łamały się od srebra i złota. Bo też Witold korzystał z każdéj okoliczności dla wzbogacenia skarbu i kraju. Kiedy w roku 1415, król Jagiełło będąc w Wilnie zwiedził skarbiec wielko-książęcy Witolda, ten ostatni prosił go o przyjęcie upominku małego ze skarbca, a gdy Król na to się zgodził, W. ks. ofiarował mu 20,000 praskich groszy, co na dzisiejszą monetę wynosi 27,000 zł. reńskich, a nadto 40 drogich sobolich futer, sto zrebców i 100 garniturów najbogatszego ubrania.

Witold umarł w Trokach 27 Października 1430 roku. Ostatni oddech 86 letniego starca przyjęły małżonka jego Julijania, król Jagiełło, legat papieża biskup Wileński, metropolita kijowski, W-ki książe moskiewski Bazyli, król Duński Eryk i wielu dostojników zagranicznych.

Tradycyje ludowe, do dziś dnia przechowane, twierdzą, że na 7 dni przed zgonem bohatera Litwy, woda w Trockiem jeziorze w krew się zamieniła, w Brześciu-Litewskim było trzęsienie ziemi, koło Smoleńska wilcy napadli na wioski i pożerały ludzi, na Żmudzi spadł grad kamienny, a w okolicach Trok straszliwy smok się zjawił i ludzi pożerał. Podobne podania ludowe świadczą dowodnie jak lud pojmował i cenił swojego wiel. księcia a wiele innych podań o rycerskości, waleczności i rozumie Witolda, do dziś dnia krąży po całéj przestrzeni Litwy i Rusi.

Handel za jego czasów był w najświetniejszym stanie. Do dziś dnia pokazują na wyspie Tawani na Dnieprze, ślady komory celnéj zwanej *Witoldową łaźnią.* Główne porty Witolda były *Polonga* na morzu baltyckiem i *Chadżykaj,* gdzie dziś Odessa, na Czarnem.

Małżonka jego Anna, córka Swiętosława księcia Smoleńskiego, zostawiła piękną pamięć po sobie w Wilnie—ona bowiem była założycielką cudnéj piękności kościoła ś. Anny w gotyckim stylu, o którym Napoleon I. będąc w Wilnie powiedział, że gdyby mógł, to by go na dłoni do Paryża przeniósł.

Takie to było panowanie dzielnego Witolda.

Kazimierz Jagiellończyk i Zygmunt Stary, obdarzyli Litwę wielu statutami i przywilejami, a w r. 1530, miała Litwa już swój og ólny zbiór praw Litewskich, poprawiany i prostowany ciągle przez nieustającą komisyją, a dopiero w r. 1588, ogłoszony drukiem st araniem najznakomitszego z mężów litewskich W. Kanclarza, *Lwa Sapiehy.*

Wielka i zacna postać ostatniego Jagiellona Zygmunta Augusta, tak samo jak Witolda nie zawsze była u nas zrozumianą i godnie ocenioną. Zaledwo w ostatnich latach nieodżałowanej pamięci J. Bartoszewicz, w kilku krótkich zarysach odmalował wierniéj i dobitniéj tę postać znakomitą.

Króla łączyły na zawsze z Litwą i Rusią wspomnienia lat młodzieńczych, gdyż jeszcze za życia ojca został wielkim księciem Litewskim, łączyły go z Litwą i związki małżeńskie z piękną Litwinką, Barbarą Radziwiłłówną, a nadto przyjaźń najczulsza, która przetrwała aż do śmierci z jej bratem rodzonym Mikołajem Rudym, oraz ze stryjecznym, sławnym w dziejach Litwy, Mikołajem Czarnym.

W r. 1569 skończyły się samoistne dzieje W. księstwa Litewskiego.

Taki jest ogólny przebieg dziejów tego księstwa. Uważaliśmy za stosowne podać ten krótki zarys, przechodząc obecnie do samego opisu.

d. e. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadji P....

ROZDZIAŁ I.

Wioska na granicy.

Jesteśmy w wiosce meksykańskiej, nad brzegiem rzeki Brawo del Norte, w skromnej zagrodzie wieśniaczéj. Stary kościół w stylu maurytańsko-włoskim z kopułą pstro malowaną, plebanija i urząd gminny — oto jedyne w całej okolicy zabudowania z kamienia! Zajmują one trzy boki placu dosyć dużego i kwadratowego, którego stronę czwartą, obsiadły drobne sklepiki i domki uboższej ludności. Wszystkie te domki stawione są z dużej cegły surowej zwanej *adobés,* niektóre pobielone tylko na biało, niektóre pomalowane w najrozmaitsze arabeski, niby dekoracyje wędrownego teatru; niektóre nakoniec a tych jest najwięcej, ani bielone ani malowane, mają powierzchowność jednostajną brudną i odpychającą. Do każdego z tych domów i domków prowadzą ciężkie jakby więzienne drzwi, a w oknach nie ma nigdzie ani jednej szyby. Są za to kraty żelazne, ale te zabezpieczając od złodzieja, od zmian powietrza zabezpieczyć nie są w stanie.

Ze wszystkich czterech stron placu wychodzi się na wązkie, brudne uliczki, gęsto zabudowane ceglanemi domkami, po za któremi na saméj już granicy wioski, dostrzegasz tu i tam rozrzucone domostwa, bardziej jeszcze ubożuchne co prawda, ale więcej za to malownicze i pociągające.

Te chaty z dachami w kształcie ostrokręgu, budowane są z połupanych pni *yucca,* z którego gałęzi urządzono belki a szerokie i giętkie liście obrócono na poszycie. W tych chatach

mieszkają biedni *peonasowie*, potomkowie zawojowanego a niegdyś panującego tu plemienia.

Domy z kamienia jak z cegły, mają dachy płaskie pokryte dachówką lub cementem, czasami werniksowane, z parapetami do koła a tak wysokiemi, że się na nich można najwygodniej opierać.

Te dachy płaskie i na nich *azote'a* czyli rodzaj tarasów nadają oryginalną właściwość architekturze meksykańskiej.

Kiedy słońce zajdzie a wieczór pogodny i cichy, azotea, jeżeli zwłaszcza gospodarz domu jest miłośnikiem kwiatów, staje się wybornem miejscem obserwacyjnem, bo wtedy formuje istny ogród napowietrzny, upiększony wspaniałemi okazami bogatej flory meksykańskiej.

Prawdziwe to święto dla oczu... Swobodny jak w salonie, możesz się cieszyć widokiem wszystkiego co się dzieje na ulicy — po nad którą wznosi się taras.

Lekka galeryjka zabezpiecza cię od wypadku a zarazem służy za zasłonę tak, iż dokładnie widząc, sam od nikogo nie jesteś widzianym. Po nad głową masz niebo błyszczące cudnemi gwiazdami, pod nogami twojemi przesuwają się gromady ludzi, którzy zajęci troskami powszedniego żywota ani myślą spoglądać w górę.

W tej chwili rozkoszuje się właśnie na jednym z takich tarasów, a że dom gminny najwyższym jest w wiosce całej, widok mam nie porównany. Rozglądam się do koła i zachwycam cudowną podzwrotnikową roślinnością.

Jedwabiste kłosy kukurydzy, za każdym powiewem wiatru pochylają się ku ziemi i wspaniale odbijają od ciemniejszych liści *pimont'u* i bobu. Obszerne pola otacza wieniec z kolczatych kwiatów i krzewów, a to wszystko tak widzę dokładnie, że potrafię rozróżnić niektóre gatunki palmy i *bromeliasu* z temi szczególnemi szkarłatnemi liściami, co błyszcząc tworzą zdala jednę niby wstęgę ognistą.

Las który prawie styka się z wioską, tłomaczy dla czego jej mieszkańcy nie zajmują się rolnictwem lecz pasterstwem, a stąd dla czego po polankach i dąbrowach uwijają się liczne stada bydła rasy hiszpańskiej i małych koników ze spiczastemi uszami rasy barberyjskiej.

Tuczenie bydła jest prawie wyłącznem zajęciem tutejszych wieśniaków. Rolnictwem trudnią się o tyle o ile wymaga tego uprawa ziemi pod kukurydzę, z której robią placki i wydobywają tłuszcz na omastę. Te produkta i mięso z napół dzikich wołów stepowych, stanowią główne źródło pożywienia w całym Meksyku. Co do napojów, dla mieszkańca wzgórz przysmakiem jest kieliszek aloesu, w dolinach, sokiem palmy pokrzepiają się i zaspakajają pragnienie.

O jaką milę na zachód spostrzegam światło odbijające się w wodzie. To tak przy zachodzącém słońcu, błyszczy odnoga rzeki. Skręca ona w tym punkcie, otaczając w półkole ładną wyniosłość, na szczycie której bieleją mury *haciendy* jakiejś. Chociaż jednopiętrowa tylko, hacienda ta z szyku i stylu wygląda na zamożnego szlachcica mieszkanie. Tak przynajmniej domyślać się każe obszerny przedsionek, dach płaski otoczony wspaniałym parapetem, małe z czterech rogów strzelające w górę wieżyczki i dominująca po nad tem wszystkiem dzwonnica kaplicy domowej.

Godła religijne licznie tu są rozsiane po kraju!

Lustrzane tafle szyb, migocących po przez kraty—ożywiają do pewnego stopnia smutny wygląd budynku. A co więcej jeszcze rozjaśnia tę jego powierzchowność ponurą — to zielone gałązki kwiatów wychylające się z po za parapetu—i palma powiewająca nie śmiało swemi drobnemi listkami. Zdaje mi się że palma jest tutaj rośliną egzotyczną.

Jeżeli jednak podnoszę tę kwestyją—to nie dla tego broń Boże iżbym się wdawać miał w jakieś dociekania botaniczne. Nie — Ta palma w tem miejsce ma dla mnie jakieś symboliczne znaczenie. Przypuszczam iż zdradza ona pewną właściwość charakteru tego lub téj kto rezyduje w haciendzie.

Że istnieje na tarasie piękny ogród o tem ani się godzi powątpiewać — a czyż nie może być prawdopodobnem, że jakaś piękna osóbka—zajmuje się jego kwiatami?... Nie wiem doprawdy dla czego, ale przy tej uwadze dziwnie jakoś przyjemne opanowały mnie myśli—i przychodziło mi do głowy, czyby naprzykład nie dostać się na pagórek i stąd do mieszkania.

Wzdychałem, przypatrywałem się haciendzie i Bóg wie jak długo byłbym się jeszcze przypatrywał i wzdychał, gdyby nie głos piszczałki który mnie wyrwał z tej słodkiej zadumy. Znałem dobrze nutę którą się odezwała. Było to najzwyczajniejsze hasło do opatrywania koni, ale i to starczyło by mnie z krainy marzeń ku rzeczywistemu światu pociągnąć. Odwróciłem się — rzuciłem okiem w stronę wioski i oto jaką szczególną zauważyłem scenę....

ROZDZIAŁ II.

Przystanek.

Wpośród owego kwadratowego placu, znajdowała się ogromna studnia z ogromnem również kołem, wielkiemi skórzanemi wiadrami i murowanem obok korytem. Około niej odbywała się scena pełna wrzawy i życia.

Wolno, z widoczną obawą w oczach, idzie mieszkaniec wioski w swoich szerokich szarawarach bijących go po łydkach. Otulony starannie płaszczem, skrywając twarz opaloną pod szerokie ronda czarnego kapelusza, unika on środka placu, trzyma się pod murami a od czasu do czasu rzuca okiem w stronę studni z pomieszaniem i obawą.

Dochodzi do drzwi domu które mu ręka jakaś z wewnątrz otwiera i zamyka je co tchu za sobą, widocznie zadowolony że już przecie zeszedł z oczu.

Po chwili widzę go, jak wygląda przez kraty...

Dalej znowu spostrzegam małe ale liczne gromadki ludzi.

Wszyscy jednako ubrani w szarawarach szerokich, kraciastych płaszczach i ceratowych kapeluszach na głowie... Wszyscy mają jednako smutną powierzchowność, gestykulują bardzo mało i wbrew zwyczajowi, rozmawiają po cichu.

Widocznie są pod wrażeniem jakichś nadzwyczajnych okoliczności.

Większa część kobiet zamknęła się w domach. Na placu widać ich bardzo mało i to najbiedniejsze z rasy indyjskiej. Są to same prawie przekupki z towarem, rozłożonym na plecionkach z liści palmowych.

Suknie z wełny kolorowej, głowy odkryte z czarnemi a szerokiemi włosami zaplecionemi w sznurki z czerwonej włóczki, czynią je bardzo podobnemi do cyganek Europejskich.

Mają one miny zupełnie swobodne, śmieją się, rozmawiają, wyszczerzają białe zęby i zapraszają każdego przechodnia do kupowania owoców i jarzyn.

Głosy ich prawdziwie harmonijne mile wpadają w ucho.

Od czasu do czasu młoda dziewczyna z dzbanuszkiem na głowie, zbliża się do studni.

Może to jedna z piękności wioskowych w swojej krótkiej wełnianej spódniczce, w koszulce haftowanej bez rękawów, w małych atłasowych pantofelkach i w popielato niebieskawym płaszczyku.

Widzę kilka takich dziewcząt na placu. Wyglądają śmieléj od mężczyzn, uśmiechają się nawet i odpowiadają niekiedy na rubaszne żarty cudzoziemców dziwnej powierzchowności otaczających studnię.

Meksykanki są odważne i uprzejme.

Cudzoziemcy o których wspomniałem są widocznym postrachem dla krajowców. Oni są tu właściwie panami. Tak się każe domyślać nie tyle ich liczba ile dumna pewność siebie i głos donośny i śmiały. Oni widać rządzą tą ziemią.

Wspomniałem był także o ich powierzchowności szczególnéj. Zaprawdę niewidziano chyba bandy bardziej rozmaitej.

Jest ich z osiemdziesięciu a gdyby nie to, że każdy ma w ręku karabin, nóż u pasa i rewolwer przy boku, nie mógłbyś uchwycić najmniejszego podobieństwa pomiędzy jednym a drugim...

Uzbrojenie jest jedyną oznaką jakiegoś umundurowania i jakiegoś uorganizowania, z resztą każdy ma na sobie coś takiego co go wybitnie odróżnia od innych towarzyszów. Jeden ma surdut z grubego sukna, drugi jakąś wełnianą katankę, inny bawełnianą kapotę, inni jeszcze jakieś okrycia pstrokate lub spencery ze skór danielich.

Na głowach czapki skórzane, kapelusze kastorowe, futrzane lub lakierowane, najrozmaitszych kształtów, z ogromnemi rondami.

Wszyscy noszą ostrogi srebrne stalowe lub platerowane, jedni mają je przymocowane rzemieniem inni przypasowane do butów — jedne z nich są bardzo lekkie, inne ciężkie meksykańskie, ważące do kilka funtów z zębami po pięć cali długości, zdolnemi na wylot choćby przebić bok koniowi. To nie meksykanie noszą te ostrogi, te szarawary, te kapoty i spencery. Ci co się tak postroili są ludźmi innego zupełnie pochodzenia. Większa ich część winna swoję silną budowę plantacyjom kukurydzy z Kentuky i z Tennessee albo tłustym zasiewom urodzajnych pól Ohii, Indyjany lub Illinois. Są to strażnicy i strzelcy leśni, koloniści z zachodnich gór Alleghanis, przewoźnicy

z Missisipi, pasterze stepowi, kreole pochodzenia francuzkiego z Luisanny, awanturnicy z Texas a gdzie niegdzie jakiś obywatel z więcej zaludnionych okolic „Grand Ouest'u...

Poznaję tutaj typ teutoński, piękne jego włosy i jasne wąsy, poznaję rumianego anglika, poważnego szkota, zawadyjackiego irlandczyka, poznaję zręcznego uśmiechniętego i gadatliwego Francuza, silnego o marsowatéj minie Szwajcara, poznaję wygnańca Polaka, o pełnej szlachetności twarzy z sumiastemi wąsami, smutnego—ponurego i milczącego.

Co za przedmiot do studyjów w tym zbiorze ludzi tak dziwnych!

To korpus gerylasów amerykańskich.

A ja — ja jestem ich kapitanem, ich wodzem.

Tak, ja to właśnie dowodzę korpusem złożonym z żywiołów tak różnorodnych — a pomimo nieosobliwej powierzchowności moich ochotników, śmiem zapewnić, że ani w reszcie Ameryki ani w Europie ani na całej przestrzeni kuli ziemskiéj, nie znajdzie podobnej drużyny, równie bitnéj, równie śmiałéj i równie inteligentnej.

Większa ich część strawiła życie w walkach z Indyjanami lub Meksykanami, wybornych szkołach dla wykształcenia się na żołnierza— Od nich nauczyła się i reszta wojennego rzemiosła.

Jest tu kilku ludzi światowych którym nie dopisała fortuna, są i tacy którzy nie mogli znaleść miejsca w ucywilizowanym świecie i tacy których praw pozbawiono.

Nie dobry to materyjał do kolonizacyi, ale ujdzie do żołnierki.

Z zaniedbanemi brodami, z długiemi nieporozczesanemi włosami, z twarzami zakurzonemi, w kapeluszach zapuszczonych na oczy, w tych dziwnych kostyjumach pościąganych pasami, przy których wiszą noże, pistolety, ładownice i rogi z prochem, wyglądają naprawdę strasznie.

Ale sądzić ich z powierzchowności byłoby to wyrządzać im krzywdę. Zapewne nie jeden z nich to bandyta rabunek tylko mający na celu, ale też nie jeden nosi szlachetne serce pod niepozorną osłoną, a większość nie jest obcą uczuciom prawdziwie ludzkim...

Są tu serca które silnie biją pod wpływem patryjotyzmu a niektórzy idą za popędem szlachetniejszym jeszcze, idą za chęcią rozszerzania wolności. Inni bo są i tacy, oddychają tylko zemstą. Ci ostatni to głównie Teksеńczykowie opłakujący przyjaciela lub brata, zabitego przez Meksykanów. Nie zapomnieli oni nikczemnie zamordowanego Goliada i krwawej rzezi Alamo.

Z całego tego oddziału ja jeden tylko, albo nie mam dostatecznych powodów znajdowania się w podobnem towarzystwie, albo je mam bardzo małe.

Przypadek, pragnienie przygód i wrażeń, może jaka ukryta chętka sławy i władzy, o to są powody które, tłómaczą mój udział w tej wyprawie.

Jestem biednym awanturnikiem bez domu i bez ojczyzny, bo mój kraj rodzinny nie ma już niezależności...

Nie poszukuję zadośćuczynienia za zniewagę osobistą, jednem słowem, nie mam żadnego interesu ani prywatnego ani publicznego w sprawie, w której za broń chwyciłem.

Moi ludzie poprzywiązywali konie przy ogrodzeniu kościelnem. Zwierzęta te tak jak i ich jeźdzcy, tworzą grupę bardzo różną kształtem ubraniem i rasą.

Rumak silny i pełen życia z Kentuky lub Tenessee, lekki biegun z Luisanny, mały konik barberyjski i *mustang*, który parę tygodni temu biegał wolny i dziki po stepach, wszystko to napotyka się w tej gromadzie, aż do dwóch mułów odznaczających się szczególną rasą — wielkiej mulicy wychudłej z Ameryki północnej i mieszańca.

Ten czarny rumak z tą piękną główką to mój, stoi on przy fontannie na środku placu. Spoglądam z zadowoleniem na jego zaokrąglone kształty. Jak on dumnie schyla swoję łabędzią szyjkę, z jaką komiczną niecierpliwością kopie nóżką, widząc że mu się przypatruję.

Zaledwie od godziny stoimy w wiosce w której nigdy dotąd nie widziano wojska amerykańskiego, chociaż od kilku już miesięcy prowadzi się wojna przy niższym brzegu rzeki.

Wysłano nas na zwiady z poleceniem zapuszczenia się jak najdalej w głąb' kraju, bez narażania się jednak zbytecznie.

Wyprawa nasza nie tyle ma na celu zabezpieczenie się od niespodzianéj napaści ze strony meksykanów ile bronienie ich samych od *Komanczów*, wspólnych naszych nieprzyjaciół.

Jak dochodzą wieści — ci Izmaelici indyjscy przygotowują się do wojny i uformowali już prawdziwą armiję bojową.

Powiadają że pustoszą kraj po prawym brzegu rzeki del Norte, że zabrali jednę osadę, wyrżnęli mężczyzn, uprowadzili kobiety i dzieci i zabrali co się tylko na co przydać mogło.

Przybyliśmy tutaj dla podbicia Meksyku ale jego mieszkańców, powinniśmy bronić od rozbójniczych napadów.

ROZDZIAŁ III.

Jeniec.

Rozmyślałem nad szczególniejszym charakterem tej wojny, gdy naraz dumania moje przerwał silny tentent kopyt końskich. Tentent pochodził z daleka gdzieś z po za wsi, i zdradzał konia pędzącego galopem.

Przebiegłem żywo taras żeby coś zobaczyć i nie omyliłem się w oczekiwaniu, bo w chwili gdym się zbliżał do muru, ujrzałem wyraźnie i drogę i jeźdzca.

Ten ostatni był młodzieńcem bez żadnego zarostu, cerę miał ogorzałą prawie ciemną a pomimo odległości dwustu jakich kroków, dostrzegłem odblask jego szlachetnego spojrzenia.

Zarzucony na ramionach płaszcz jaskrawy, w zgrabnych draperyjach spadał na siodło, na głowie miał leciutkie sombrero u którego galony i chwasty zdawały się być szczero złote. Koń był niewielki centkowany jak jaguar, prawdziwy andaluzyjczyk.

Jeździec zbliżał się galopem nie zważając na nierówną drogę, przypadkiem podniósł oczy na taras na którym stałem, mundur mój i uzbrojenie zwróciło jego uwagę.

W tej samej chwili z gwałtowną szybkością choć jakby nie naumyślnie, osadził na miejscu konia który stanął jak wryty.

W tedy to mogłem się przypatrzeć szczególnej powierzchowności i człowieka i konia.

Właśnie szeregowiec stojący na posterunku z téj strony wioski, wyskoczył z miejsca w którym stał ukryty—i krzyknął „stój" ale jeździec nie zważając na rozkaz szarpnął konia, wykręcił się na miejscu a spiąwszy go ostrogami pobiegł galopem, w zupełnie przeciwnym kierunku.

Kula byłaby dosięgła szaleńca lub konia, gdybym był w téj chwili nie zawołał do szyldwacha, „nie strzelaj."

Zwierzyna to za piękna i za gruba żeby ją tak zamordować odrazu pomyślałem sobie. Taki jeździec wart aby się pokłopotać o niego i żywcem uchwycić.

Konia mojego pojono właśnie w téj chwili i spostrzegłem że nie był jeszcze rozsiodłany. Kurs jakiśmy odbyli z rana rozgrzał go bardzo a mój murzyn, miał rozkaz oprowadzania go przynajmniej przez godzinę, zanim da mu napić się wody.

Nie chcąc tracić czasu na zejście ze schodów, skoczyłem na mur parapetu a stąd dostałem się na plac.

Groom przewidując o co chodzi, podprowadził mi konia—chwyciłem cugle i skoczyłem na siodło. Kilku szeregowców poszło za moim przykładem i kiedy pędziłem wązką uliczką wioski, słyszałem po za sobą odgłos kopyt i chrzęst uzbrojenia.

Ze dwunastu towarzyszów spieszyło za mną.

Nie chodziło mi o nich co prawda... Pomiędzy mną a tym którego goniłem, była szansa zupełnie równa. *d. c. n.*

KORESPODENCYJE
„Opiekuna Domowego"

Wiedeń 28 Grudniu 1874 r.

Święta Bożego Narodzenia, przywodzące na pamięć tyle miłych wspomnień z lat dziecinnych, łączące w jedno serdeczne koło poproszonych członków rodziny, święta tak uroczyście obchodzone na całem świecie, a osobliwie w Niemczech, tracą u niemców coraz więcéj swój właściwy charakter. Żądza to panowania nad światem, wyrugowała z kultura'gerów wszelkie szlachetniejsze uczucia. I nie mogło być inaczéj; nie ma miejsca na uroczystości rodzinne tam gdzie poczucie obowiązku, poświęcenia i miłości słabnie z dniem każdym. Takie święta to przesąd, który znosi się z niechęcią do czasu, i który oddawna byłby już poszedł w kąt do innych rupieci średniowiecznych, gdyby nie przed-świąteczny jarmark, a zatém sposobność zrobienia geschäft'u. Jarmark ocalił dotąd odwieczny obyczaj, aczkolwiek nacierają nań ostro postępowy, jak np., najliberalniejsza izba handlowa wiedeńska, oczywiście z samych żydów złożona! Ta to izba podała petycyją do ministerstwa o zniesienie wszystkich świąt chrześcijańskich lub przeniesienie ich na niedzielę, z powodu niby ogromnego ubytku pracy, sprawionego przez te święta. Dziwna rzecz, iż izba handlowa zapomniała całkiem o świętach żydowskich, których przecież daleko więcej aniżeli u innych wyznań. Czyżby przez to przyznała się milcząco do faktu, iż w rzeczywistości, czy żydzi świętują czy nie, produkcyja krajowa ani się zmniejsza ani powiększa? Ministerstwo rzecz prosta, odrzuciło podanie, jako nie zgadzające się z literą praw

konstytucyjnych, skąd znów straszny lament pism liberalnych *barwy mojżeszowéj* zdeklarowanéj lub na wpół ukrytej.

Na przekor panom Izraelitom a na wielką uciechę wszystkich urzędników, literatów, uczniów, profesorów, i wogóle wszystkich ludzi zajmujących się przez całe miesiące mozolną pracą, odbywają się jeszcze w tym roku święta, i jak zwykle powodują posuchę większych czy mniejszych wiadomości tak politycznych jak literackich i brukowych. Aby coś zebrać, trzeba cofnąć się o cały tydzień wstecz, a i tu żniwo nie zbyt obfite. Buletyn tygodniowy zawiera „Zabójstwo na Wöhringu", Król wysp Hawai w Nowym Yorku,"— „Książe Bismarck obrażony przez szwaczkę",—otrucie się panny Krauss,—samobójca Molitor jako defraudant," „wilija dla opuszczonych sierot" — „kwestyja socyjalna w parlamencie",—wybór burmistrza" —„dymisyja ks. Bismarcka",— „nowa powieść Moser Sadocha.

Zaczynając od początku, zabójstwo na Wöhringu połączone z kradzieżą, nikogo interesować nie może. Rzeczy takie należą do codziennych objawów życia wiedeńskiego, i już zupełnie spowszechniały. Stolarczyk 20-o letni udusił babę starą u której mieszkał, zabrał jéj kilkaset reńskich, które chciał natychmiast przepić z kolegami, lecz mu policyja przerwała zabawę w najlepszej chwili, co było nader smutnem, dla kolegów. Otrzyma prawdopodobnie dwadzieścia lat ciężkiego więzienia i kwita. Co innego gdyby był popełnił morderstwo dla zabrania 60 grajcarów,—jak się to niedawno na wsi zdarzyło, byłby z pewnością wisiał.

Daleko więcej zajmuje tu wieść o przybyciu do Nowego-Yorku w przejeździe do Europy króla Kalakua z wysp Hawai, albowiem jest nadzieja iż może i o Wiedeń zawadzi, podobnie jak już zapowiedziany tu Sułtan Zanziberu. Król czarny i król oliwkowy,—co za rozkosz dla wiedeńskich gapiów,— w kąt pójdzie wspomnienie Szacha perskiego. Jedną się tyko rzeczą niepokoją, czy władca wysp Hawai ukaże się w narodowym stroju, który odpowiednio do łagodnego klimatu tych wysp, odznacza się brakiem wszelkich niepotrzebnych przyborów: czy też czyniąc zadość wymaganiom cywilizacyi europejskiéj przywdzieje przynajmniéj tę część niezbędną stroju męzkiego, o któréj żadna dobrze wychowana angielka nie wspomina. Telegraf milczy o tym szczególe. Gdy jednakże doniósł, jako król Hawai przybył na brzegi Atlantyku mocno zakatarzony, przeto wyciągają stąd logiczny i słuszny wniosek, iż musiał być w podróży nader lekko ubranym a więc jest jeszcze jakakolwiek nadzieja że może i do Wiednia przybędzie— bez dodatków.

Książe Bismarck pozwał jakąś szwaczkę o obrazę honoru, za to iż wyrażała się o nim z lekceważeniem w towarzystwie kilku kucharek i przekupek. Rzecz urzędownie stwierdzona, i proces się toczy.

Dość ładna chórzystka jednego z przedmieściowych teatrów, Babetta Krauss otruła się z powodu iż dyrektor nie chciał pozwolić, aby odśpiewała zwrotkę jednę w nowej sztuce. Ważny powód,—gdyż śpiewka ta miała aż cztery wiersze! Jaki był powód, takie i otrucie, gdyż wszystko skończyło się na mocnym bólu żołądka. Panna Krauss źle się otruła, i dziś już śpiewa owę fatalną zwrotkę, którą jéj dyrektor zmiękczony takiem poświęceniem dla sztuki nareszcie powierzył. Ale jakiem było otrucie takim i śpiéw,—stąd widać że dyrektor miał zupełną słuszność, oceniając wartość artystyczną panny Krauss ze względu na ładną nóżkę i kształtną kibić.

Gorzéj się stało z innym samobójcą, który się przed kilku tygodniami na prawdę zastrzelił. Molitor kochał i był kochanym ale że był nadetatowo pełniącym obowiązki zastępcy urzędnika do pisma w jakimś przedmieściowym cyrkule, młodzieńcem pełnym nadziei, ale z fortuną w nieporozumieniu, więc ojciec srogi, — jak to zwykle bywa,—przepędził go i zakazał wchodzić w cudzą szkodę. Stąd lamenta, desperacyje, —i tragiczna śmieć! Samobójstwo z miłości!... w teraźniejszym czasie, jakiż to temat do romansu, do fejletonu, i rozmaitych dziennikarskich haftów. I posypały się też gradem owe fabrykaty pióra, a nawet jeden znany pisarz zabrał się do pisania z tego powodu dramatu, w pięciu aktach z prologiem i epilogiem, o 47 obrazach, którego część pierwszą już nawet ukończył. Dramat ten był przeznaczony do oświecenia ludu i byłby sprawił ogromne wrażenie, ile że wywodził jasno jak na dłoni, iż powodem nieszczęśliwego losu kochanków były przesądy społeczne, chrześcijańska wiara i nieomylność Papieża. Niestety! na raz rozchodzi się wiadomość, iż miłość nie była wyłącznym powodem śmierci bohatera, gdyż w kasie biura w którym służył zabrakło 6,000 guldenów. Prozaiczny ten epizod zmusza autora niedokończonego dramatu do przystosowania swych postępowych myśli do jakiegoś innego ideału, na który przyjdzie mu podobno nieco długo poczekać; zaś epizod prozaiczny zamienia się o tyle jeszcze w dotkliwszą prozę, iż te 6,000 guldenów zdefraudowanych pochodziło z kar, a że Molitor kwitów do książek nie zaciągnął więc skazani musieli kary po raz drugi do magistratu zapłacić.

O polowaniach peszteńskich tyle można powiedzieć iż się odbywają w czerwonym fraku, iż lisów tam mało, ale zabawy wiele, iż się na nich osobliwie odznacza hrabia Andrassy, dleko więcej niż w polityce. Wprawdzie z lisów uszczutych nie zdoła sobie hr. Andrassy sprawić lisiury, zresztą sprawić nie potrzebuje, gdyż mu ją od dawna ktoś inny uszył, ale to zawsze pięknie, iż taki wielki pan, który ma tyle na głowie, nawet marnym lisem nie pogardza.

To wszystko musi być wierutną bajką co piszą o nędzy w Węgrzech, gdyż przecież za te pieniądze co uszczucie jednego lisa kosztuje, możnaby dziesięć głodnych rodzin od nędzy na zawsze wybawić.

O kwestyi socyjalnej, o wyborze burmistrza i o wigilii dla opuszczonych sierot, nie ma co i mówić; wszystko się to odbywa według austryjackiego odwiecznego zwyczaju. Kwestyja socyjalna w parlamencie, przedstawiająca się tą razą w postaci kilkudziesięciu tysięcy robotników bez chleba i bez zajęcia, skończyła się jak zawsze na dobrych chęciach, i na wybraniu komisyi która ma ten przedmiot dokładnie zbadać i przedstawić na przyszłej sesyi,—przyszłego roku— jesienią. Można tu powtórzyć co już raz zastosowano w podobnym wypadku do sejmu jednej prowincyi:

„Trzymając z narodem
„Radzili nad głodem,
„Nim radzić skończyli,
„Już głodni nie żyli."

Burmistrza wybrano ponownie na trzecie trienium, o czem wszyscy z góry wiedzieli, aczkolwiek wciąż się na niego odgrażali demokraci. Wybranym został dawniejszy gdyż innego możebnego kandydata nie było, a najwięksi krzykacze najmniej byli zdolni do pełnienia tych obowiązków, i pomimo wielkiej popularności najmniej im dowierzano, tam gdzie szło o rozsądne zawiadywanie funduszami miasta. Opatrzenie sierot na wigiliją odbyło się według zwykłej formy, a że czasy ciężkie a sierot przybyło, więc i opatrzenie było dość cienkie. Wypadło na jedno dziecko po jednej skarpetce, po pół czapki, po jednym orzechu i po $^1/_{64}$-ej jabłka.

O dymisyi ks. Bismarcka również nie ma co pisać, albowiem w nią nikt nigdy nie wierzył, może właśnie dla tego, iż oddane mu dzienniki podniosły taką wrzawę jakgdyby się cała monarchija austryjacka zawaliła. Zawsze jednakże sprawia to piękne wrażenie iż liberalne dzienniki austryjackie tak się mocno i *bezinteresownie* zajmują co się tyczy wielkiego kanclerza. Ile razy kichnie w Berlinie, tyle razy życzą mu natychmiast zdrowia.

Ważniejszą od tej dymisyi jest nowa powieść Sacher Masocha, gdyż ta istnieje, a tamtę na użytek prywatny dziennikarzy sam pan kanclerz wymyślił. Odkąd Achard ogłosił Pana Sacher Masocha w recenzyjach francuskich, za wielkiego i genijalnego pisarza, a to tem samem piórem które tak strasznie biło niedawno Prusaków na papierze, odtąd z jego powiastek galicyjskich, wywiódł M. A. również genijalny wniosek, iż meternichowskie rządy nader słusznie podniecały ciemną masę ludu; widocznie chce znowu Pan Sacher Masoch zasłużyć na te pochwały, obierając sobie szersze pole i wdając się w powieściopisarstwo historyczne. Treścią więc jego nowej powieści jest: akademija smorgońska.

d. n.

Lwów dnia 1 Stycznia 1875 r.

Rok ukończony, macie więc prawo Szanowni czytelnicy zapytać sprawozdawcy z bruku Lwowskiego ileśmy też łez otarli w ciągu owych dwunastu miesięcy, ilu biednym uczniom pomogli, ile szkół pobudowali, ile nowych książek wydali, ilu wyrobili czytelników nowych, jakie założyli fabryki, lub wreszcie—ale mniejsza o pytania, tych starczyłoby na całą stronicę tylko odpowiedź oj z tą odpowiedzią to bieda nie lada.

Przedewszystkiem wielkie to moi najmilsi ryzyko zapytywać o pracę zbiorową całego społeczeństwa tam gdzie istotnie czynnych i pracowitych jego członków jest zaledwo... no ilu?... jeden. Zaraz to udowodnię. Lwów miał dotychczas (prócz literackich) trzy czasopisma codzienne, poświęcone wysokiej polityce, sprawom ekonomicznym i społecznym. Każdy z tych dzienników liczy w przecięciu pięciuset stałych odbiorców miejscowych; jeden może mniej, drugi więcej nieco trochę ale faktem jest, że owa trójca 1500 numerów rozdaje. Nie idzie za tem, by było w samej rzeczy 1500

czytających a raczej składających przedpłatę! Ci sami, którzy prenumerują jeden dziennik a dajmy na to że ich jest 600, prenumerują także dwa inne. Możnaby uwzględnić tych, którzy pism pożyczają, ale gdy idzie o ludzi zajmujących się życiem, potrzebami, i zadaniami społeczeństwa, to do takich, owych pożyczkowiczów policzyć nie można. Ci umieją tylko ubolewać ale nie zastanawiać się, potrafią się skarżyć ale radzić nie są wstanie, zdolni są płakać na losy ale nie iść z niemi w zawody, od biedy mogą krzyczeć głośno nawet na biedę, ale rozmyślać nad środkami i potrzebami nie zdolni — ci zatem nie idą w rachunek, choćby ich było jak przypuszczam z jakie 5000. Z sześciu set kupujących czasopisma przynajmniej 200 czyni to dla tego, ażeby panie domu i córki miały co dzień świeży kawałeczek powieści w felijetonie a sami kursa giełdy i rubrykę: przyjechali i wyjechali. Pozostaje czterysta osób, czterysta dusz zajmujących się rzeczywiście szczerze sprawami tego świata i potrzebami społeczeństwa. I tu jeszcze trzeba odciąć od tej liczby 200, ludzi w prawdzie zacnych, serdecznych którzyby chętnie zrobili i to i owo, gdyby nie tamto i gdyby nie tego ten, gdyby nie potrzeba dołożyć workiem, albo kompromitować się za małym datkiem narazić się komu. Decydują więc że lepiej siedzieć cicho niż szastać się, bo powiadają: „co się ma zrobić, to się i tak zrobi.“ Ot, i w samem powiedzeniu już czuć spychanie obowiązku ze siebie na jakieś losy ślepe, na jakieś coś bez nazwiska: ma się zrobić, *zrobi się*. Ostatnie dwie seciny osób dzielę na dwie kategoryje: 100 przypuśćmy takich, którzy robią w prawdzie krok naprzód, ale za to czemprędzej potem dwa kroki w tył. Na barkach jednej setki opiera się wszystko, coby dźwignąć było obowiązane całe społeczeństwo a czego przez lenistwo ducha, przez bielmo na oczach nie czyni. Oświata i przemysł, dobroczynność publiczna, poparcie sztuk, literatury; wszystko to sprawy, które gdzieindziej są codziennem zajęciem, powszednim chlebem ogółu—tu zaś dopiero zajęciem wyjątkowych jednostek.

Jeżeli donoszę kiedy, że rada municypalna lwowska uchwaliła cokolwiek, że staraniem tej rady polepszono byt nauczycieli lwowskich, to z pewnością zasługa to wpływu kilkunastu członków z owej setki. Zasługą ogółu to jedynie, że daje posłuch głosom wymownym i rozumnym. Jakby dla położenia przeszkody każdej prawie dobrej a nowej rzeczy, mamy jeszcze i tę dziwną słabość, że miłujemy pewne osobistości miłe lub niemiłe, bez względu na to co proponują. Nie pytają tu: „co powiedział, zaproponował,“—ale „kto?“ Zawsze więc rzecz, pożytek ogółu jest na drugim planie, byle uczynić zadość zaściankowej ambicyi, sympatyi lub antypatyi.

„Zawiązujemy stowarzyszenie konsumcyjne“ powiada p. X, i wzywa pana G. Wezwany zapala się, unosi, w gorącej przemowie wyczerpuje przedmiot wszechstronnie, jakieby korzyści spłynęły na stowarzyszonych, a w końcu zapytuje, kto przystąpił już do towarzystwa. Zagadniony odpowiada, że p. R. p. W. p Z. i t. d. Tu nagle ostygł pan G. i powiada, że kiedy należy tu i p. R. i p. W., to ja nie wpisuję się na listę członków. Czemuż to?— A! brzmi odpowiedź— bo ja z panem R. nie zgadzam się co do Bismarka, a z panem W. co do Darwina; no a pan Z. także oddaje mi zawsze ukłon jakby od niechcenia. O takie drobnostkowe antagonizmy rozbijają się tu najczęściej najkorzystniejsze, najzacniejsze pomysły, już, już w czyn dojrzewające.

Rzecz dziwna, ale tak jest, że najdoskonalsza solidarność w Galicyi panuje w sferach, dla których opinija klasy średniej, opinija domorosła, swojska, jest niczem. Cała tak zwana arystokracyja galicyjska fabryki austryjackiej, wytrwałą jest w zadaniu: lekceważenia wszystkiego, co może podnieść przemysł krajowy, sztukę jego, oświatę i t. p. drobnostki, które według niej na zachodzie tylko mają prawo bytu. Solidarnie trzyma się zasady, by nie znać tego co kraj posiada, a jeżeli zakładać co to chyba banki, jeżeli popierać, to propinacyją, a jeżeli raczy się unieść świętym oburzeniem, to pewnie na zakładanie szkół ludowych, a jeśli się chwali, to sportem i czapką dżokejską, jeśli zamieszka w kraju, to tylko w stajni przebywa, na arenie za rogatkami Janowskiemi i w tak zwanym salonie. Wynosi się zaś i dzisiaj jak niegdyś z tego, że paple po francuzku i czyta tak sławnych i głębokich myślicieli dzieła, jak stary Balzac, młodsi Ponson du Terraill, Bellot, Gaboriau i t. p. Płeć piękna grywa z upodobaniem motywa z Pięknej Heleny, bo to „drastyczne“, kołysze i drażni i w rozdrażnieniu nasuwa obrazy, które wypiekają rumieńce—niecierpliwości nie wstydu. A złota młodzież tej sfery—doprawdy nie uwierzycie: mina buńczuczna choć cera blada, głos i ton pełne arogancyi, choć brak siły na taką postawę wyzywającą,— rozdeptali by chętnie to plugastwo, co się zowie ulicą. A za co, czemu? Ot, tak dla satysfakcyi, dla chwilowej rozrywki. Nieszczęście, jeżeli taki panicz pomyśli o karyjerze i karyjerę zrobi. Jużcić wtedy potrzeba jakiegoś murzyna białego, któryby obowiązek do karyjery przywiązany — odrobił. Znajdzie się taki zawsze, a szczególniej w społeczeństwie, którego jednostki przywykły do eksploatowania pracy bliźniego. Cóż więcej powiem na pochwałę tej klasy? Zsumowawszy wszystko, zadaniem jej zdaje się, zbliżyć się jak najrychlej do stanu niedołęstwa! Nikogo to już nie oburza, wzbudza tylko pogardę, ale pogarda kanalii ulicznej, literatów, dziennikarzy i t.p. motłochu, nie dosięga tej sfery, jak mniemają wybrańcy jej. Resztę czynów Iwich pominąć można śmiało milczeniem: klasa ta nie jest żadną dźwignią, żadnym czynnikiem w machinie społecznej, o trupie więc mówić szkoda. Należało się jednak napomknienie, bo i o zawalidrogach bezużytecznych, czasem słowo rzec potrzeba. O wyjątkach nie mówię, bo te zresztą nie należą do tego specyfiku galicyjskiego.

Na tym tle papuzim, zarysowuje się w linii zstępnej druga klasa, ludzie o dobrych chęciach, zamożni, ale słabi nad wyraz wszelki, pierwszą słabością trzymanie się klamki pańskiej“ Sympatyje te pędzą panów po radę do śmietanki arystokratycznej, panie do naśladowania wszystkich niedorzeczności, jakie popełniają „damy.“ Z tej sfery rekrutują się kandydaci na marszałków Rad powiatowych, członków Wydziału krajowego, posłów do sejmu i wiedeńskiej rady państwowej i t. p.— Oczywista, że system reprezentacyjny rządu austryjackiego otwiera szerokie pole ambicyjom, rosną więc one jak grzyby po deszczu, ku zadowoleniu przezacnych połowic, ale nie z wielkim pożytkiem dla społeczeństwa. Jak zbawienną mogłaby być czynność ludzi w radach powiatowych, można powziąć miarę z zakresu działań przydzielonego tym instytucyjom. Cały zarząd ekonomiczny należy do tych atrybucyj, dozór nad szpitalami, kontrola majątku gminnego, dobroczynność, podniesienie oświaty i w końcu wszystko, co się do dobra powiatu i każdej gminy wiejskiej przyczynić może. Zakładanie zatem śpichrzów gminnych, kas zaliczkowych szkółek i t. p. to zadanie nie tak znów małej wagi, by nie wystarczało ambicyjom i wielkim zamiarom.

Jakoż wystarcza w samej rzeczy tytuł członka, marszałka, a resztę, a rzecz samą, robotę, zajęcie, zachętę, wyświecenie spraw—pozostawia się mitycznej figurze jakiejś, która zrozumieć ma powiedzenie: „jakoś to będzie, jakoś się zrobi“ i wykonać duchem, przez Ducha świętego. Bywa wprawdzie jeszcze kozioł ofiarny w tych instytucyjach, to jest sekretarz wydziału Rady powiatowej, ale ten, choćby miał najlepsze chęci, jest kółkiem podrzędnym: załatwiać musi co mu każe Wydział.

Niemniej pięknem zadaniem tych Rad byłaby większa dbałość o mienie mieszkańców powiatu, zagrożone latem i zimą żywiołem takim jak ogień. W zawiązywaniu ochotniczych straży ogniowych biorą te instytucyje bardzo nieznaczny udział. Jeżeli Galicyja posiada dziś ochotniczych straży ogniowych na całym obszarze od wschodu na zachód, razem 46, w tyluż miastach i miasteczkach, to zawdzięcza to przeważnie usiłowaniom kilku, kilkunastu jednostek. Główną zasługę ma w tej mierze lwowskie chotnicze towarzystwo straży ogniowej. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

I.

Tyle życia, ile... w czynie.

Piętnaście stopni zimna, jak na początek Nowego roku to dosyć. Śnieg aż piszczał pod nogami. Przesuwamy się po ulicach w obłokach pary, i życząc sobie nawzajem szczęśliwych lat, przeklinamy starodawny obyczaj który nas w takie zimno wyciąga z domu na ceremonijalne wizyty. Doprawdy, już choć od samych gorących życzeń, których w tym dniu wypowiada się tyle, i od zdwojonej liczby ruchów muskularnych, powinna się była podnieść temperatura. Gdzietam! Mróz *wziął* i trzyma. Oby tylko serc naszych niezamroził — i — daj nam Boże mniej życzeń a więcej czynów!

W lecie pracują wioski — w zimie miasta. Pracują... jak kto umie. Czyta się więcej bo dłuższe wieczory — jak gdyby w dzień czytać niebyło można, tańczy się nad ranem tak jakby wieczorem niemożna było tańczyć i t. d. Ale taki to już podek rzeczy którychnie zra-

rzerobisz. Łatwiej jest napisać w ciągu roku 365 artykułów przeciwko różnym niedorzecznym zwyczajom, aniżeli przekonać ludzi, że gdyby zaczynali bale o 7-ej zamiast o 11-ej mieliby dosyć czasu na tańce i na spoczynek, bez uszczerbku dla zajęć dziennych, że gdyby panie nasze zamiast trzyłokciowych ogonów nosiły krótkie balowe sukienki, miałyby równe powodzenie u mężczyzn, a przedewszystkiem u ojców i mężów... że gdyby panowie przestali trzymać w tańcu szapoklaki, mniejby je sobie połamali, bez żadnego uszczerbku dla estetyki choreograficznej, że gdyby kolacyją dawano o 10-ej zamiast o 2-ej goście mieliby więcej siły i niedawaliby *nura* zaraz po kolacyi, — że wreszcie gdyby się znalazło kilkanaście pań zamożnych, któreby się odważyły pójść na bal do resursy w jak najskromniejszej toalecie, to z pewnością znalazłyby liczne naśladowniczki i bale te nie robiłyby *fiasco* jak dotąd. Ale to wszystko groch na ścianę. Ludzie są istotnie najnaiwniejszemi istotami pod słońcem; chcą się bawić — a wzajemnie psują sobie zabawy — chcą się uczyć a wzajemnie sobie przeszkadzają w nauce, krzyczą na zbytki a żyją nad stan, potępiają młodzież lekkomyślną — a z własnych córek robią towary galanteryjne — i t. d. i t. d.

Ale to wszystko groch na ścianę!

Nie można jednak zaprzeczyć, że z Nowym Rokiem, istotnie sporo nowych rzeczy przybyło — szczególnie też w ruchu literackim — wprawdzie nie książkowym ale gazeciarskim. Trzy nasze gazety codzienne przeszły kryzys noworoczny z różnem szczęściem. Niewytykamy, kto co zyskał, a kto co stracił, ale zwracamy uwagę osób interesowanych, że jeżeli wszystkie pisma postępują choć na krok z każdym nowym rokiem, to mogłyby to zrobić i gazety, które bardzo długo wychodząc nie robią żadnych postępów nawet co ćwierć wieku i brną dalej w swej ciasnocie literackiej, korzystając z ludzkiej gł... chciałem powiedzieć słabości. Oj panowie domorośli polityci! Żebyście choć raz w życiu około Nowego roku pomyśleli ileście też czasu i papieru napsuli na robienie i zbijanie politycznych prognostyków, i ogólno-europejskich deklamacyji. Kuryjer jeden i drugi może przynajmniej powiedzić sobie: podawałem facecyje, ale też przyczyniłem się do naprawy niejednego mostku, do odnalezienia niejednej zguby — do ostrzeżenia przed niejednem oszustwem, a wy co? Nawracaliście Bismarka! Rok upłynął i z waszej pracy zostało trzysta arkuszy papieru, po 7½ kop. od funta.

Smutna dola!

Jeżeli w roku przeszłym przemysł nasz olbrzymio się podniósł — to zaiste nie wam to zawdzięcza, nie wam którzy, co najwyżej pisaliście przeciw materyjalistycznym dążeniom wieku. A przecież gazeta codzienna ma dosyć środków do pośredniczenia w rozwoju krajowej działalności ekonomicznej i naukowej. Dowiódł tego Wiek, który bądź co bądź najwięcej dbał o sprawy krajowe. Oddając mu tę pochwałę, życzymy zarazem innym gazetom ażeby z tym Nowym Rokiem gorącej i wytrwalej zajęły się tem co je otacza, niewdając się w całkiem przy dzisiejszych naszych warunkach bezpłodne ogólno europejskie kombinacyje. Jednej z nich w szczególności życzymy ażeby ufając w swe siły dyplomatyczne, nieprzeceniała przynajmniej swych sił literackich i postarała się choćby o takich ludzi którzy umieją pisać to co myślą.

Co prawda, sił literackich mało nam przybywa, a wiele ubywa. Między innemi zgon jednego z najczynniejszych literatów ś. p. Jana Chęcińskiego reżysera teatru — nie małą uczyni szkodę krajowemu piśmiennictwu, a jeśli, jak jest do przewidzenia, reżyseryja teatru, czyli dobór sztuk porządniejszych może niestracić na tem, to za to trudną będzie do powetowania strata, jaką w skutek śmierci Chęcińskiego poniosła nasza *literatura dziecinna*. Sądzimy bowiem, że na tém właśnie polu zmarły największe położył zasługi.

Przypuszczezenie nasze co do możliwego podniesienia się naszego repertoaru scenicznego, opieramy na tym fakcie że obowiązki reżysera objął obecnie p. Rapack autor dramatu: „Wit Stwosz,“ którego druk ukończył niedawno Tygodnik Ilustrowany.

Pisaliśmy niedawno (w artykule wstępnym) o wykształceniu *na marne*. Otóż jako komentarz wyrażonych tam uwag, pozwólcie czytelnicy iż wam skreślimy jeszcze jeden więcej przykładzik, Przed laty kilku pan P. był jednym z najzdolniejszych studentów wydziału medycznego w b. Szkole Głównej. Zmuszony opuścić już na trzecim kursie aulę uniwersytecką, opuścił równie Warszawę i powróciwszy do rodzinnego miasta i znajduje się nie raz bez chleba, bez sposobu do życia, jest po prostu na bruku. Los jednak zdarza że p. P. spotyka p. K. kolegę z uniwersyteckich studyjów, P. K. jest lekarzem przy jednej z dróg żelaznych, ma przy tem szeroko wyrobioną praktykę a z praktyką dość rozległe stosunki. Otóż ów kolega dzięki właśnie stosunkom z dygnitarzami kolei, wyrabia tu dla pana P. posadę nocnego, magazynowego *stróża*.

P. P. tedy, student uniwersytetu, jest stróżem, gdy w tem los nadarza mu spotkanie koleżeństwa w osobie jednego z wyższych urzędników tejże samej kolei. I cóż? czy sądzicie może że to tak wpływowe koleżeństwo pomogło co panu P. do wydobycia się na jakieś odpowiedniejsze dla jego umysłowych uzdolnień stanowisko? Że owi koledzy—dygnitarze podali panu P. prawdziwie koleżeńską pomocną rękę. O! i jak jeszcze! Oto dla pozbycia się natręta, awansowali (!) p. P. z stróża na woźnego posługacza i na tym koniec. Znając bliżej okoliczności towarzyszące życiu p. P., doprawdy dziwimy się szanownym protektorom, jak mogą z zimną krwią od kolegi uniwersyteckiego przyjmować czysto koleżeńskie usługi, i patrzeć obojętnie na marnowanie się umysłowych zasobów, które może za przykład i bodziec do pracy służyły im kiedyś. Czyż to tak zapisano w księdze praw koleżeńskich, i czy bratnią obowiązkową pomoc tak pojmować należy!?

Z Piotrkowa donoszą: „Dla sprostowania różnych wieści dotyczących przyszłego wydawnictwa „Tygodnia“ proszę o zamieszczenie w swem piśmie koniecznego w tym względzie wyjaśnienia. By zawrzeć je w najtreściwszych wyrazach, nie roztrząsam przyczyn owych mylnych pogłosek, lecz do powszechnej wiadomości podaję że „Tydzień“ wychodzić będzie od 1 lutego 1875 r. w Piotrkowie w poprzednim zakresie i formacie. Dawniejsze grono osób, które tak chętnie we wspólnym celu pomoc niosły, rozszerzone jeszcze przybyciem nowych współpracowników, daje mi otuchę, że „Tydzień“ odpowie swemu zadaniu i zyska trwałe uznanie czytelników. Nadmieniam przytem, że zpowodu pamiątki dwóchsetnej rocznicy istnienia szkoły w Piotrkowie, dochód z powyższego wydawnictwa osiągnięty, przeznaczony zostanie, po wyjednaniu zezwolenia właściwej władzy, na zawiązek funduszu kasy pożyczkowej dla uczniów miejscowego gimnazyjum.

Spodziewam się, że wszyscy ludzie, miłujący szczerze naukę i pragnący widzieć w młodzieży naszej rozbudzoną samodzielność i poszanowanie dobrze pojętej godności osobistej, nie odmówią tej sprawie swego współdziałania i poparcia. Na ten sam cel zamierzamy przed końcem r. b. wydać: „Rocznik“ na rok 1876: „Przyjaciela“, kalendarz dla mieszczan i włościan; „Gwiazdkę“ dla dzieci; jeśli zaś nadzieje nas nie zawiodą, to i „Zbiorową książkę pamiątkową“ poważnej treści, o czém w stosownym czasie bliższe szczegóły ogłoszone będą.

Polecając pamięci ogółu czytelników tak „Tydzień“ jak i zamierzone w przyszłości wydawnictwa, spodziewam się, że Szanowni Redaktorowie prasy peryjodycznej raczą w swych pismach powyższe słowa powtórzyć.

Antoni Porębski.

ROZMAITOŚCI.

W uniwersytecie warszawskim w roku szkolnym $187^3/_4$ zapisanych było studentów 667, a mianowicie: na wydziale historyczno-filologicznym 41, fizyko-matematycznym 84, prawnym 250, lekarskim 292. Ukończyło Uniwersytet ze stopniem kandydata 38, rzeczywistego studenta 27, lekarza z odznaczeniem 5, lekarza 26. Z rozpoczęciem roku szkolnego bieżącego $18^{74}/_{75}$ zgłosiło się kandydatów do Uniwersytetu 45, przyjęto na studentów 42. Obecnie liczy Uniwersytet ogółem studentów 534, z tego przypada na wydział historyczno filologiczny 37, matematyczny 55, prawny 197 lekarski 245. Dodawszy do tego wolnych słuchaczy 38, farmaceutów 158. Ogół uczących się w uniwersytecie wyniesie 730.

W dniu 1-m stycznia r. z. w kraju tutejszym było; gimnazyjów męzkich 18, klass przygotowawczych przy tychże 18, odziałów dodatkowych 26. Progimnazyjów męzkich 8. Gimnazyjów realnych 2. Progimnazyjum realne 1. Seminaryjów nauczycielskich 9, szkół początkowych wzorowych przy tychże 8. Szkoła miejska 3 klasowa 1. Szkół dwuklasowych 27, żeńskich oddziałów przy tychże 4. Szkół miejskich żeńskich 3. Szkół wiejskich

dwuklasowych 10. Szkół początkowych i miejskich męzkich 82, żeńskich 107, mieszanych 108, wiejskich męzkich 13, żeńskich 14. mieszanych 2069, parafijalnych 1. Giminazyjów żeńskich 10, progiminazyjów żeńskich 7, szkoła żeńska 1-go rzędu 1. Szkół męzkich prywatnych: 2-go rzędu, pensyj 14, szkół 5, 3-go rzędu szkół 10. Szkół żeńskich prywatnych; 2-go rzędu, pensyj 21, szkół 5; 3-go rzędu, szkół żeńskich 53; mieszanych 3. Kantoratów ewangielickich 505. Szkół żydowskich: rządowych 43, prywatnych 15. Szkół niedzielno-handlowych 4. Szkół rzemieśniczo-niedzielnych: 2-go rzędu 6, 3-go rzędu 93. Zakłady specyjalne: Szkoła wyższa rzemieślnicza 1, szkoła weterynaryjna 1, klassa rysukowa 1. Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych 1. Zakłady nie zostające pod zwierzchnictwem Ministeryjum Oświecenia: Instytut Aleksandryjsko-Maryjski wychowania Panien i Instytut Muzyczny. W ciągu roku 1873 zamknięto lub przekształcono zakładów naukowych 51. W ciągu tegoż roku otworzono nowych zakładów naukowych 131.

Liczba uczących się była następująca: w Giminazyjach męzkich 4,875, w klasach przygotowawczych przy tychże 650, w progim. męzkich 923, w klasach przygotowawczych przy tychże 239, w giminazyjum realnem 100, w seminaryjach nauczycielskich 663, w szkołach początkowych wzorowych przy tychże 385, w szkole miejskiej 3 klasowej 111, w szkołach początkowych dwuklasowych: męzkich 2,744, żeńskich 877, w szkołach początkowych jednoklasowych: męzkich 83,950, żeńskich 47,310. — W szkole parafijalnej męzkiej 20, żeńskiej 3. W giminazyjach żeńskich 1,381, w progiminazyjach żeńskich 546, w szkole 6-o klasowej żeńskiej (w Chełmie) 117, w szkołach parafialnych obcych wyznań: męzkieh 8,681, żeńskich 6,784. W szkołach prywatnych; męzkich 2,494, żeńskich 3,372. W szkołach żydowskich rządowych: męzkich 1,906, żeńskich 1,128, prywatnych; męzuich 227, żeńskich 484. W szkole wyższej rzemieślnidzej (w Łodzi) 187; w szkole weterynaryjnej 83, w Instytucie głuchoniemych i Ociemniałych: uczniów 126, uczennic 69, razem 195; w klasie rysunkowej 288, w szkołach niedzielno-handlowych 702; w szkołach rzemieślniczo-niedzielnych 7,563.

Wydatki na utrzymanie zakładów rządowych wynosiły w roku bieżącym: na guberniją Warszawską (za wyłączeniem Instytutu Wychowania Panien i Instytutu Muzycznego) rsr. 996, 331 kop. 93; na gub. Lubelską rsr. 195,010 kop. 91; na gub. Siedlecką rsr. 86,534 kop. 65; na gub. Suwałkowską rsr. 74,526 kop. 80; na gub. Piotrkowską rsr. 71,992; na gub. Radomską rsr. 71,358 kop. 48; na gub. Kaliską rsr. 54,893 kop. 24; na gub. Kielecką rsr. 62,007 kop. 65; na gub. Płocką rsr. 53,350 kop. 4; na gub. Łomżyńską rsr. 52,174 kop. 19.

Razem w zakładach naukowych było uczących się 179,466, koszta utrzymania ze skarbu wynosiły rsr. 1,718,179 kop. 40.

W ciągu r. b. gimnazyja realne w Warszawie i Włocławku i progiminazyjum realne w Łowiczu, przekształcone zostały na szkoły realne sześcioklasowe, z tych szkoła Warszawska z odziałem dodatkowym handlowym. Nowy kurs w szkole realnej Warszawskiej ropoczęty został dnia 3 października.

W gimnazyjach i progiminazyjach żeńskich wprowadzony został język francuzki, jako obowiązkowy w miejsce niemieckiego za wyłączeniem giminazyjum 4-go w Warszawie (przy ulicy Miodowej), gdzie przychylnie do prośby rodziców, język niemiecki pozostawiono obowiązkowym.

Z zakładów prywatnych żeńskich nowo otworzonych w Warszawie, notujemy wzorowo urządzony zakład pani Izabeli Smolikowskiej przy ulicy Marszałkowskiej i takiż zakład panny Jadwigi Sikorskiej, przy ulicy Królewskiej.

Liczbę stypendyjum zwiększyły 6 stypendijów imienia Feldmarszałka hrabiego Berga, b. Namiestnika Króle. po rsr. 300 rocznie każde, z tych cztery przy Uniwersytecie i dwa przy Instytucie Wychowania Panien.

Składka publiczna na stypendyja imienia „Kopernika" przy Uniwersytecie Warszawskim zebrana z powodu 400-letniego jubileuszu urodzin nieśmiertelnego astronoma, uczyniła 15,000 rubli.

* * *

— Projekt *zamienienia pustyni Sahary* (albo przynajmniej jej części algierskiej i tunetańzkiej) *na morze*, za pośrednictwem przeprowadzenia wody z morza Śródziemnego, stanowi obecnie przedmiot ważnych rozpraw. Francuzki minister wojny polecił kapitanowi floty Rodere dokonać na miejscu niezbędne pomiary i badania. Ze strony Towarzystwa jeograficznego wykomenderowany został w tym celu p. Duverier, obznajmiony z przedmiotem i miejscowością. Nowe morze ma się rozciągać od południka Gabesu do południka Konstantyny, i oczywiście, równie radykalnie zmieni warunki klimatu i gruntu, jak z drugiej strony, nada handlowi niezwykły rozwój, dzięki otwarciu nowych dróg komunikacyjnych

* * *

— Wróble, te mniemane szkodniki, na które prostota naszego ludu nastawia najfantastyczniejsze straszydła, w Prusiech, w Anglji i Danji są ochraniane i nieledwie pielęgnowane z największą troskliwością. U nas stary przesąd jest ich zaciętym wrogiem i tępicielem. Lud kmiecy nie da sobie wytłomaczyć, że ziarno, które biedny wróbelek „wypije", ginie w tak małej ilości, iż stanowi zaledwie cząstkę szkód ponoszonych w zasiewach z przyczyny robactwa, którego znowu wróbel jest zaciętym tępicielem. Wiadomo, że przesąd taki nie był naszą własnością wyłączną. W Prusiech tępiono wróble na potęgę, aż wreszcie przyszło do tego, że ich niedostatek przekonał, po której stronie prawda: dzisiaj wróble kupowane i sprowadzane doznają tam troskliwej opieki. I u nas może przyjdzie niedaługo do tego, bo biedne ptaszki giną całemi tłumami. Oto na targach warszawskich sprzedają wróble zabite, łapane w potrzaski po $1\frac{1}{2}$ kopiejki za sztukę!. Tak nizka cena, opłacająca zaledwie koszta polowania, dowodzi, jaki to pospolity towar, i jak wielkie ilości jego giną z ogromną szkodą rolnictwa. G. W.

* * *

Karol Merwart ogłosił w języku niemieckim rozprawę p. t. „Erster Zusamenstoss Polens und Deutschland, seine Bedeutung und seine Folgen," Graz 1874. jest to rzecz obrobiona dosyć przedmiotowo, ale zdaniem autora pierwsze zetknięcie się Polski z Niemcami nastąpiło w epoce wprowadzenia chrystyjanizmu u nas, a przyjęcie wiary przez Polaków było następstwem tegoż. Podnosi także kwestyją hołdownictwa pierwszych królów polskich względem cesarzów niemieckich. i kończy konkluzyją, że pierwszemu zetknieniu się z Niemcami zawdzięcza Polska swoję cywilizacyją i historyją.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pni. *Nienadkiewicz w Milatynie.* Odebraliśmy rs. 3; ponieważ prenumerata roczna w tym roku wynosi rs. 8 prosimy przeto o dosłanie rs. 1 a całe półrocze będzie opłacone.

P. *Jacuńskiemu w Symferopolu.* Przysłał pan rs. 3; do opłaty za półrocze należy się rs. 1.

P. *Frąckiewicz w Tambowie* jako dodatek za Wrześ. pazd. i listop. wysłaliśmy panu nie „Pieniądz i Praca" lecz Emancypowaną.

Pni. *Miłobędzkiej w Jampolu* otrzymaliśmy na prenu. za 1 półrocze rs. 2, 50; upraszamy o dosłanie jeszcze 1, 50.

P. *Pokle—mu w Kościeniewiczach.* N. zeszłoroczne 8, 9, 10, 11, 29,35 powtórnie wysłaliśmy. Co do wychowania tego dotąd wyszło tomów 7.

P. *Reutt w Dernowiczach* 2-gi egzemplarz wychowania opłacony zupełnie i wysłanym panu został w liczbie tomów 7.

P. *Długoborskiemu w Elizawetgradzie.* Z wychowania wyszło Tomów 7. Katechizm na który pan przysłałeś w roku zeszłym kop.50 obecnie posyłamy. Z dodatków po Emancypowanej wysłanym był kalendarz.

Pni. *Deryngowskiej w Brzozowie.* Z wychowania 7 tomów t. j. tyle ile dotąd wyszło wysłano pani; Kalendarz również wysłany.

P. *Babiańskiemu w Liwnach.* Prenumeraty na wychomanie otrzymaliśmy rs. 4 i Tomów 7 wysłaliśmy.

P. *Bobrowskiemu w Połtawie.* Hirtoryja polski dotąd nie wyszła.

P. *Tomaszewskiemu w Barze.* Pow. Pieniądz i Praca nie należała się panu; dostał pan Emancypowaną. N. 6, 18, 42 posyłamy jako też: źródła Nilu od str. 1 - 37.

P. *Chełmowskiemu w Klecku.* Ponieważ na prenumeratę za Kwart. IV r. z. pozostało tylko kop. 25 przeto od Nr. 45 wstrzymaliśmy wysyłkę.

P. *Lipskiemu w Kupielu* Oprócz przez pana wymienionych dodatków był jeszcze Kalendarz; przeto wszystko pan odebrałeś.

P-u. *Edmundowi Orda w Rakowie.* Dodatki bezpłatne wszystkie odesłaliśmy Panu. Z 25-o tomowego wydawnictwa p. t„ Wychowanie Domowe" odesłaliśmy tomów siedm—dalsze tomy posyłać będziemy.

P-u. *Julijanowi Jzert w Dreznie.* Prosimy o korespondencyje z warunkiem iżby zawierały fakta ogólniejszego znaczenia—nadesłanej jako ogólnikowej drukować nie możemy. List odeślemy P-u Prof. Mikłaszewskiemu.

P-u. *Bonif. Osuchowskiemu w Sierakowie.* Opiekuna odsyłamy podług podanego adresu. Kalendarz był dołączony przy Nr. 51.

P-u *Justynijanowi Kosowskiemu w Wołowodowie.* List komunikujemy wydawcy Biblijoteki Romansów P-u Józefowi Kaufmanowi.

P-i. *Kazimierze Czuwasz w Niemieczyńcu.* Nadesłane 5 rs. na prenumeratę dzieła „ Wystawa wiedeńsk illustrowana" złożone zostały w czasie właściwym Panu Kaufmanowi wydawcy Ulica Trębacka Nr. 9, któremu też reklamacyją Pani komunikujemy.

P-u *D-r. Wisłockiemu w Brześciu Kujawskim.* Sprawdzimy zażalenie na poczcie, bo powieść „Pieniądz i Praca" odesłaliśmy Panu w czasie właściwym—Kalendarz wysłany przy Nr. 51.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.